

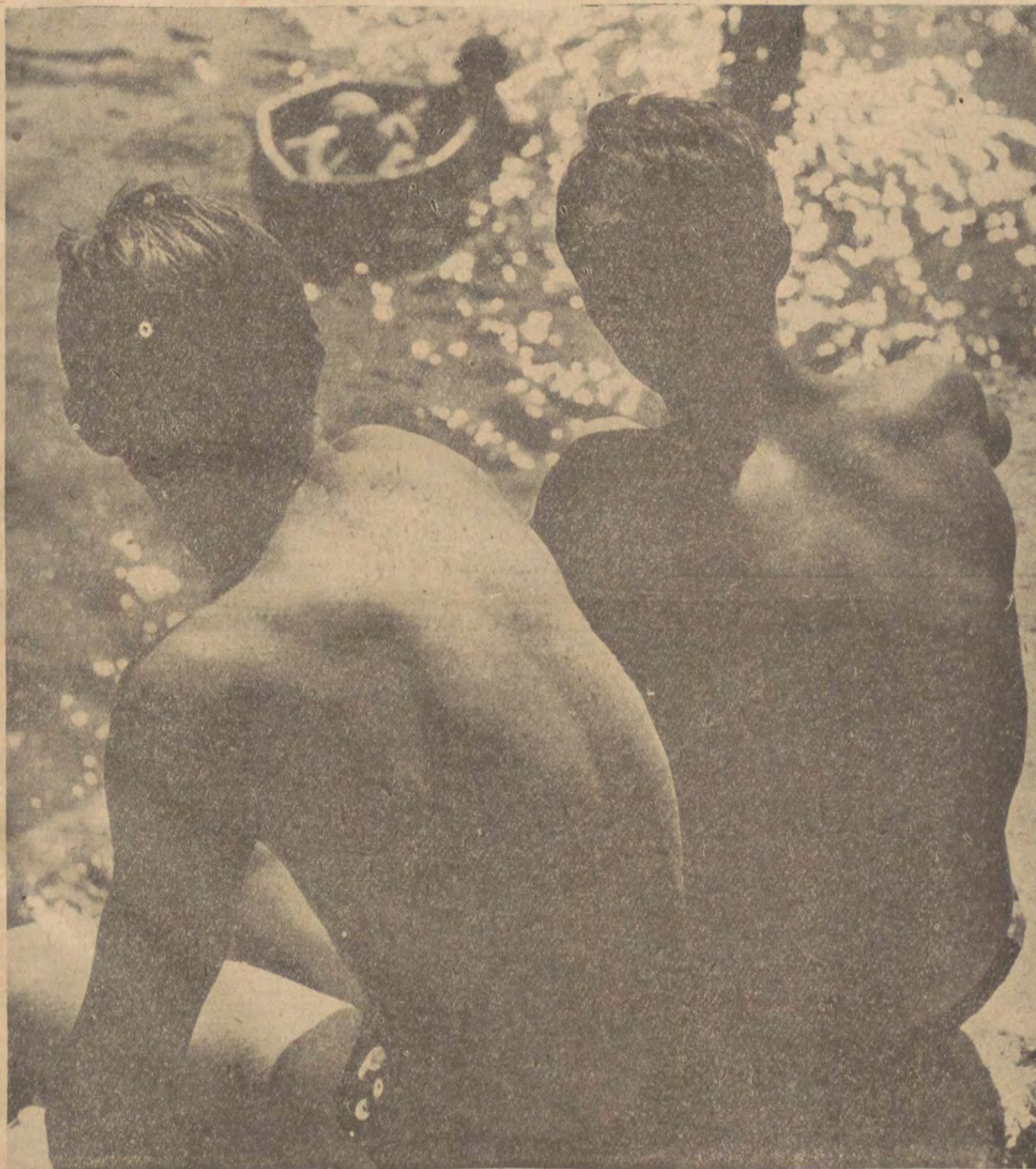
Dziś w numerze: ● Rozmowa z Ary Szternfeldem ● Jak to na koloniach ładnie
● Tam, gdzie rosną lodowce ● Klub bozylejski ● Opowiadania
● Recenzje ● Wiersze ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 31 (418)
27. VIII. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Fot. Dr. Miloslav Stibor (CSRS)

MICHAŁ DALECKI

Literackie kluby nauczycieli

Zdarza się coraz częściej, że o nauczycielach i problemach ich działalności mówi się na długo przed i długo po listopadowym święcie. O-

kazji dostarczają sami nauczyciele dowodząc, iż w tym środowisku mają miejsce wydarzenia ciekawe, odnoszące się nie tylko do utartych schematów pracy i zainteresowań środowiska nauczycielskiego.

Jeszcze w czasie trwania minionego roku szkolnego rozniosła się wieść, że łódzcy nauczyciele zorganizowali igrzyska sportowe. Nie ważne są wyniki, choć wtajemniczeni twierdzą, że i tych nie należy lekceważyć. Istota sprawy tkwi jednak w samej inicjatywie — ciekawej i pozytywnej i to z różnych względów, o których chętnie wypowiadaliby się wychowankowie. Do tradycji już należą liczne sukcesy, jakie odnosi chór łódzkich nauczycieli. Dają też znać o sobie nauczyciele plastycy na wystawach organizowanych przez Zarząd ZNP w Łodzi.

Kolejną ciekawą inicjatywę ma na

swym koncie Zarząd Główny ZNP. Mimo okresu wakacyjnego zjechało się do Gdyni w drugiej połowie lipca około osiemdziesięciu nauczycieli różnych specjalności na seminarium literackie.

Dwutygodniowy okres seminarium wypełniły ciekawe spotkania i pozytywne dysputy. Wydaje się, że ze względu na sam charakter tego zjazdu nauczycieli z różnych stron kraju, jak również problematykę seminarium i dalsze plany, warto temu wydarzeniu poświęcić nieco uwagi.

Seminarium stanowiło próbę oceny i wytyczenia programu działania dla organizujących się na szczeblu województw, a nawet powiatów — literackich klubów nauczycieli. Spotkanie miało więc w zasadzie charakter roboczy, a także w za-

RYSZARD BINKOWSKI

Wakacje z kosą

Codzienna prasa niesie meldunki z żniwnych pól. Przewijają się liczby, suche liczby, które mówią o rozmiarach wielkiej pracy, o powierzchni skoszonych już polaci zbóż. Za owymi danymi kryją się ludzie: kryje się całe misterium — niegdyś zgoła obrządek uroczysty — pełne trudu i umęczenia. Na kronikach filmowych przepłyną przed oczyma widzów sielskie obrazki, pośród słońca, rozłożonych łąnów, pobręku kos i turkotu maszyn.

1.

Nie pojechałem w Polskę w pogoni za żniwnym obrazem, gdyż jest on typowy dla naszego kraju. Ograniczyłem się do kilku podłódzkich wsi, a zwłaszcza do jednej — wsi, w której wzrosłem, która znam najlepiej. Leży po bokach asfaltowej drogi. Na ulicach latarnie, wiele murowanych domów. Od południa ziemia tu czarniejsza i płodniejsza, od północy zaś aż po Łódź ciągną się prawie równinne piaszki, asiane gruszkami polnymi na miedzach i zielonymi galkami brzożowymi. Tu kilka zdań dygresyjnych cisnie mi się pod pióro. Napiszę je, bo chciałbym wrócić w czas dawniejszy; wrócić i potwierdzić dzisiejsze, lecz nie wiem, czy mi się to uda. Do dziś, pochylona wiatrami zachodnimi, stoi na linii horyzontu stara grusza polna. W mroźny styczniowy czas ukryła mnie matka za jej pnem przed świszczącą w powietrzu śmiercią. Potem znalazłem tam dziurawy hełm i starą męską. Z tymi wojennymi rekwizytami dumnie paradowałem po wsi i, jak to w owych czasach bywało — bawiłem się w wojnę. Nadszedł inny czas obcowania z gruszą: pod jej złotzielonym cieniem wędrowałem książkowym światem przygód, a w pobliskiej torfiarce łowiłem ryby. W upalne dni mych dziecięcych lat przychodzili w cień gruszy żniwiarze: odpoczywali, gwarzyli, za kurki uskuteczniali. Potem nadeszła zmiana krajobrazu. Obok gruszy wyrosło drzewo olbrzymie — bezlistny, stalowy szkielec: wieś została zelektryfikowana. W szeszyrmy polu stały latarnie — to wybudowano linię kolejki, wożącej glinę do cegielni. W podzwonne kos wdarił się tu i ówdzie turkot traktora i snopowiazalki. Z takiej to wsi i okolicznych, również wielce zmienionych, idzie mi pisać żniwny reportaż.

Posłyszałem owo znamienne przedżniwne rychtowanie — dzwony stuk młotków po kosach, jednostajne, uparte naklepywanie. Zdawałoby się, iż praca przy żniwach prosta jest, zwyczajna. Pogląd jak najbardziej mylny.

— Z kosa, panie, trza delikatnie, jak z dzieckiem. Zie wyrychtujesz — sam odcierpisz na grzbiecie.

Widzę, że niechybnie tak musi być, bo chłop, pochylony nad pnikiem z wbita weń żelazna głowica, co się babką nazywa, pilnie wystukuje, co rusz ogląda, palcem pogładza.

— Musisz, bracie, bliźniuchno brzegu klepać, równiutko, bo wypaczysz, metal ci się nadmie, i potem — tylko żaby misić możesz, a nie kosić.

— No dobrze, ale przecież samo klepanie chyba nie wystarczy?

— Kosę trzeba do ręki przyszykować. Chcesz wziąć duży pokos — kosę odsadzasz bardziej od drzewca, mniejszy pokos — przy sadzasz, mniejszy kat czynisz. Potem rączkę zakładasz na kark i jeśli kielukiem lewej ręki dotkniesz końca ostrza — dobrze ustawisz do wzrostu. Ta, jeszcze i pałak potrzebny, z drewna lub drutu, ale i bez niego można się obejść. Kiedyś to nawet pretły drewniane w drzewce wbijano, czyli tzw. grabie, ale to było strasznie ciężkie narzędzie.

Tego dnia nie ruszyli jeszcze z koszeniem. W omdłości leżały pośniąle łąny, słońce zwolna toczyło się po wymodrzałym niebie. Tylko na białym wzgórzu koło cmentarza

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 4



Bieżący przegląd wydarzeń międzynarodowych musimy rozpocząć od tego, czym zakończył się poprzedni, a mianowicie od wizyty kanclerza Kiesingera w Stanach Zjednoczonych. Jak bowiem słusznie przewidzieliśmy w ub. tygodniu — duży fragment rozmów z prez. Johnsonem wypełniło zapadnięcie Bundeswehry. Ale o wszystkim po kolei...

Trzykrotnie odkładana wizyta Kiesingera w Waszyngtonie doszła do skutku w okresie najdogodniejszym dla NRF. Ze względu bowiem już omawianych na tym miejscu zmniejszyła się znacznie popularność Johnsona i całej jego administracji. Pozwoliło to kanclerzowi NRF wystąpić w roli pełnowartościowego partnera, wierząc stojącego u boku Stanów Zjednoczonych. Podkreślał to wiele razy, stwierdzając, że gotów jest „dopomóc Stanom Zjednoczonym w dźwignaniu odpowiedzialności za świat” (!) lub też komunikując, że NRF wraz z USA „wzięła na siebie w miarę swych sił ciężar zobowiązań w różnych częściach świata”. Tak tedy kanclerz NRF, zresztą nie bez zgody Johnsona, któremu, jak się sam wyraził, „sukcesy tej współpracy dodają otuchy”, posiadał Niemcy zachodnie na najbliższego partnera i sojusznika USA.

Za jaką cenę? Jak nie trudno to wyczytać z komunikatu i tekstów przemówień — za cenę pogodzenia się Johnsona z większością uwag i zastrzeżeń Bonn co do układu o nieprolifacji broni jądrowej oraz z polityką zachodnioniemiecką, dotyczącą Europy wschodniej.

W tej sytuacji „Neue Rhein-Ruhr Zeitung” i inne pisma zachodniemieckie mogą pisać, że między NRF i USA „stworzone zostały podstawy nowego zaufania i zrozumienia”.

A co z Bundeswehrą? Na to pytanie Kiesinger odpowiedział jednoznacznie w waszyngtońskim klubie prasy.

„Pogłoski na temat redukcji naszych sił zbrojnych — przynależ do rozbijających szerezość — były nieprawdziwe. Nie zmniejszyliśmy naszego budżetu obronnego... Budżet ten będziemy nadal powiększać. W latach 1968—69 wzrost wyniesie 7,5 proc., a poniżej 6 proc. rocznie. Oczywiście chcielibyśmy zrobić więcej w tej dziedzinie. Wśród mocarstw nieatomowych wysiłek zbrojeniowy NRF należy do najwyższych”.

Czy ten fragment wypowiedzi kanclerz Kiesinger zakończył „obietnicami” słowami: „Mogę Was zapewnić, że będziemy wzmacniać Bundeswehrę”.

A więc prosto i otwarcie. Teraz już wiemy na pewno, że miłsiśmy rację, kiedy doniesienia gazet zachodniemieckich na temat dyskusji o redukcji „redukcji sił wojskowych” rozumieliśmy jako zwiastujące dalszego dozbierania. Szybkiej niż można było oczekiwać wyszło przysłowiowe sżydło z worka. I pomyśleć, że wszystko to: wzrost budżetu wojskowego, chęć „zrobienia czegoś więcej w tej dziedzinie” i zapewnienie o wzmacnianiu Bundeswehry potrzebne są Bonn po to, aby — jak próbuje wmówić opinii kanclerz NRF — realizować pokojową, nową politykę wschodnią!

Wizyta Kiesingera i Brandta w Stanach Zjednoczonych niemal zbiegła się z decyzją Białego Domu o dalszej eskalacji agresji w Wietnamie. Za taki krok uznać trzeba rozszerzenie zasięgu bombardowań amerykańskiej Republiki Wietnamu. Samoloty amerykańskie zaatakowały cele, leżące w odległości zaledwie 10 mil od granicy chińskiej, a z Waszyngtonu słychać, że i inne obiekty położone w bezpośredniej bliskości Chin Ludowych mają być stopniowo objęte bombardowaniami.

Dalsze rozszerzenie strefy nalołów poważnie zaniepokoiło wielu polityków i obserwatorów wydarzeń. Pojawili się na łamach prasy stanowcze głosy ostrzeżenia przed następstwami tego kroku. Wietnamska polityka Johnsona zaatakowana została z jeszcze większą mocą niż dotychczas. Nagłówki wielu gazet nawoływały do opamiętania się i radzą jak najszybciej odwołać te operacje wojskowe, które zakłócają perspektywę rokowań. Samo słowo: rokowania natomiast potarza się coraz częściej jako jedynie rozwiązanie niebezpiecznej sytuacji, w jaką zabrnęły Stany Zjednoczone.

Ale doniesienia z frontu wietnamskiego, a także wypowiedzi Johnsona nie wskazują absolutnie na to, aby wszystkie te nasilające się głosy docierały do uszu amerykańskich przywódców i wojskowych. Ich stawka — na rozstrzygnięcia militarne, w które wierzą już coraz mniej Amerykanów — pozostaje niezmienną.

Nieco w cieniu wydarzeń wietnamskich, blisko-wschodnich i europejskich rozgrywa się kolejny etap walki w Kongo. Chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na ten kraj, ponieważ zapowiedziana na 4 września konferencja szefów rządów państw afrykańskich w Kongo może w najbliższych dniach przyspieszyć rozwój sytuacji. Jak bowiem wynika z relacji korespondentów — Mobutu, nie decydując się dotąd na zerwanie stosunków z Izraelem ani też na ostateczne proamerykańskie kursu, zamierzał na tej konferencji dać inne świadectwo „prawdę afrykańskiej, narodowej polityki”, a mianowicie rozbroić białych najemników. Sądził, że w ten sposób uda mu się wyprowadzić jego kraj z izolacji politycznej w Afryce.

Uprowadzenie Czombego, o czym pisałem swego czasu, a także związane z tym wzrost rozruchów w Kongo, pokrzyżowały plany.

Jako że Mobutu bardzo zależy na doprowadzeniu konferencji do skutku, a to nie wydaje się możliwe tak długo, jak długo w Kongo trwa niepokój, a polityka rządu pozostaje „niejaka” — obserwatorzy oczekują dalszych wydarzeń.

W. SŁAWSKI

Tygodnik Tygodnia

Amerykański komentator prasowy, Jim Lucas, powołując się na „jedną z najbliższych postawionych osobistości rządowych” — podaje, że w ciągu najbliższych tygodni lista bombardowanych obiektów w Wietnamskiej Republice Demokratycznej ulegnie dalszemu rozszerzeniu. Należy do nich obiekt leżący w bezpośredniej bliskości granicy chińskiej, budynek rządowy w Hanoi i Haifongu oraz „niektóre inne cele”.

„New Statesman” zamieszcza artykuł Clivisa Moksouda, którego tygodnik określa mianem czołowego intelektualisty arabskiego, analizujący stanowisko zajmowane przez Zachód wobec Arabów. Stanowisko inspirowane, stwierdza autor, przez syjonistyczną propagandę „Syjonizm — definicje autor — a Izrael jest jego częściowym rezultatem jest ideologia, która nie rozwiązuje problemu Żydów, ale na długą metę pogarsza go. Zakłada on stały charakter antysemityzmu uznając za aksjomat absolutną inność Żyda oraz jego nieuchronne wyobcowanie. Syjonizm uznaje to wyobcowanie za pożądane. Odrzuca tendencje integracyjne rodzące się w postępowych społeczeństwach: Siwara to dylemat nie tylko dla zasymlowanych Żydów, ale podważa również zaufanie w żywotność demokratycznych, socjalistycznych i liberalnych instytucji, umożliwiających samorządną integrację. Ofiarą syjonizmu to nie tylko Arabowie, ale również humanizm społeczeństwa Zachodu, jak też Żydów gdziekolwiek by nie byli”.

Od kilku dni agencje zachodnie powołując się na różne źródła, w tym i na różnicjonalną prasę chińską, podają informacje o poważnych rozruchach, a często i walkach, które toczą się między różnymi ugrupowaniami rewolucyjnymi na terenie Kantonu. Szanghaj i w okolicach Pekinu.

Obroty handlu zagranicznego NRF z państwami socjalistycznymi wzrosły w pierwszym półroczu br. w porównaniu z analogicznym okresem ub. roku o 21,8 proc., osiągając sumę 3,5 miliarda marek. Udział handlu z krajami socjalistycznymi w ogólnym handlu zagranicznym NRF wynosił w zakresie importu 3,9 proc., a w eksporcie 5,1 proc. Wzrost się zwiastująca eksport zachodniemieckiej do Rumunii, Chin i Związku Radzieckiego.

Jak wynika ze wstępnych danych zbiory zbóż w Rumunii przyniosły rekordowe w historii kraju plony. Według orientacyjnych obliczeń po raz pierwszy w skali krajowej osiągnięto zbiory z hektara przekraczające 20 kwintali.

Były specjalny doradca prezydenta Kennedy'ego, Richard Goodwin, oświadczył w toku debaty w Krajowym Kongresie Studentów, że prezydent Johnson przegra przyzwoite wybory, jeżeli nie zdola położyć kresu wojnie w Wietnamie. Goodwin określił konflikt wietnamski jako „bagnu krwawych błędów katastrofalnych dla USA”.

Zdaniem jego decyzja Kennedy'ego wysłania w swoim czasie 900 doradców wojskowych do Wietnamu była najpoważniejszym błędem Kennedy'ego w dziedzinie polityki zagranicznej.

Na bankiecie wydanym na cześć wicepremiera ZSRR



— Tu prezydent Johnson... potrzebuję rady. Nie! Nie! Nie chodzi o Wietnam, urodził mi się wnuk.

Polńskiego, premier kanadyjskiej prowincji Quebec, Daniel Johnson, wygłosił przemówienie, w którym oświadczył, że wzory konstytucji ZSRR mogłyby być bardzo użyteczne dla Kanadyjskiej i bardzo pobudzające energię”. Premier Quebeca wskazał zwłaszcza na podkreślone w konstytucji ZSRR „poszanowanie dla narodowej i językowej różnorodności”. Quebec jak wiadomo dąży do zmiany konstytucji uznając ją za prowincjonalną „język narodowa francuskich Kanadyjczyków”.

Amerykański tygodnik „Stone's Weekly” zamieszcza szereg informacji przeczących oficjalnym optymistycznym wypowiedziom czynników rządu na temat sytuacji w Wietnamie. Oto fragment rozmowy między dziennikarzem pisma a wysokim urzędnikiem USA w Sajgonie.

Dziennikarz: Jak zrealizować walby pan widoki na zakończenie wojny?

Urządnik: Są one ponure, bardzo ponure.

Dziennikarz: Czy nie oczekiwaliśmy, że w obecnym okresie nastąpi przelom?

Urządnik: Tak. Lecz nie ma żadnej oznaki by to miało się spełnić.

Dziennikarz: Czy sądzi pan, że nasi generalowie nie doznęli nastawczości Wietnamczyków?

Urządnik: Czyż nie czynili tak zawsze?

W Pekinie odbyły się uroczystości związane z pierwszą rocznicą XI Plenum KC KPCh, na którym oficjalnie proklamowano rozpoczęcie tzw. rewolucji kulturalnej. Na plenum tym, jak to dopiero teraz oficjalnie podał prasa chińska, minister obrony Lin Piao, uznany został za „pierwszego” zastępcę Mao Tse-lunga.

Rząd Niemiec zachodnich i senat Berlina zachodniego zamierzają w najbliższej przyszłości podjąć szereg kroków na rzecz ułatwienia i rozszerzenia handlu z NRF. Przede wszystkim zamierza się znieść dotychczasowe ograniczenia w zakresie dostaw do NRF żelaza, stali, obrabiarek, urządzeń elektro-

prezydent usiłuje skompensować nie bardzo zyskliwe reakcje amerykańskiej opinii publicznej na wiadomości o wysylocie nowych posiłków oraz o podniesieniu wydatków o 10 proc. Jest rzeczą dość wątpliwą — kontynuację agencji — że dwa wielkie instytucje badania opinii publicznej, Gallupa i Harris, dochochą w tym tygodniu do tego samego wniosku, że za ledwie 39 proc. obywateli amerykańskich popiera politykę prezydenta.

Brytyjskie pismo medyczne wyraża w artykule wstępny zaniepokojenie rozwojem chińskiej medycyny. Jako przykład wymienia się nową wersję chińskiego organu lekarskiego „China's Medicine”. Na 10 artykułów, o dużym zazwyczaj poziomie naukowym, w obecnym nowym wydaniu pisma można przeczytać: „Chiny systematycznie przeprowadzają próby z rakietami sterowanymi i z bronią jądrową oraz doświadczenia w zakresie doświadczeń lekarskich i klinicznych zgodnie z niezwykłymi myślami Mao”.

Buteflika — minister spraw zagranicznych w Algierii: Nasza strategia i nasza dyplomacja są wyraźnie antyimperialistyczne i tego nam się nie przebacza, ponieważ bowiem stale rosnące sukcesy imperializmu, który wszędzie gra i wygrawa, szczególnie poprzez kraje podstawione. Buteflika konstatauje również, że współistnienie pokojowe nie jest zjawiskiem korzystnym dla krajów „Trzeciego Świata”. Nie mówimy tego — stwierdził Buteflika — by odrzucić współistnienie, do którego jesteśmy nadal przywiązani. Jednakże musimy stwierdzić, co się dzieje.

Czechosłowacka agencja telegraficzna zakomunikowała, że pisarz Ladislav Mniaczk został wykluczony z Komunistycznej Partii Czechosłowacji, pozbawiony obywatelstwa czechosłowackiego, rzeszytygo tytułu zasłużonego pisarza oraz nagród państwowych. Decyzje te zostały podjęte po tym, gdy pod pretekstem podróży do Austrii L. Mniaczk wyjechał samowolnie do Izraela. Przed odjazdem przekazał on zachodniej prasie, radio i telewizji oświadczenie, w którym brutalnie obraża rząd CSRS w związku z jego stanowiskiem wobec agresji Izraela przeciwko krajom arabskim, obraża oszczerniawsami ustrój socjalistyczny Czechosłowacji.

Faszyzowski rząd grecki przygotowuje się do oczyszczenia administracji państwowej z elementów podejrzanych o sympatie lewicowe. Rząd domaga się od ponad 200 tysięcy osób, od sędziów i profesorów poczawszy, na posłańcach skończywszy, podpisania deklaracji lojalności.

Nożycami przez PRASĘ

APOLLINAIRE

Od dawna było wiadomo, że jeden z największych poetów francuskich był po kądzieli pochodzą z Apollinairów. Jego matka wywodziła się z zamownego i patriotycznego rodu Kastrovickich. Z nad Dżwiny. Ich majątek uległ konfiskacie po powstaniu styczniowym. Ale od dłuższego czasu Anatol Stern próbuje przekonać całość tajemnicy pochodzenia poetę. Tym razem w „Miesięczniku literackim” publikuje szkic (z dokonczaniem w najbliższym numerze), z którego wynika, że Apollinaire był ni mniej ni więcej tylko prawnukiem Napoleona, oczywiście I. I że o tym wiedział! Sprawa zaczęła się od romanu Melanii Kostrowickiej z ks. Reichstadt czyli Orliatkiem. I co za zbieg okoliczności. Syn tej pary poznał Angelię Kostrowicką. I również stał się ojcem jej nieślubnego dziecka, które w przyszłości tak wzbogaciło literaturę francuską.

Gdyby arcywymyślny Rzecki z prusowskiej „Lalki” miał potomków, jakże oni teraz cieszyliby się ze skłonu Anatola Stern! Nie chodzi jednak tylko o cie kawostkę. Wyjaśnienie pochodzenia Apollinaira waleńie pomoże komentatorom jego twórczości, którzy do dziś nie braknie we Francji. Inna sprawa, siebie!

ze jest to twórczość ze swojej niejako natury całkowicie wieloznaczna, a mianowicie — niejasne” i dowolność kojarzeń odgrywa w niej dużą rolę.

OSZUKAL CZY NIE OSZUKAL?

Cicho sza! Nie zdarzają się na łamach prasy jakiegoś bardziej angażujące polemiki na temat naszej współczesności. Mówię wyraznie o szerokiej polemice, nie zaś o pojedynczych artykułach czy felietonach. A jak żyć bez polemiki? Jak „małej stabilizacji” w różnych dziedzinach bez nich nadawać jak śmiało? Udział w tym dyna miki? Uczyniłem się więc, że — przynajmniej piękna dwutomowa relacja Mariana Brandysa „Kozietulski i inni” pobudziła parę osób do sporów. Nie chodzi tym razem o kozietulski synonim polskiej bohaterstwa, ale o „Polityce” odpowiedział Witold Dąbkowski. Kategorie stwierał, że nie oszukał. Oszukał, czy nie oszukał? (Oszukał, czy nie oszukał? Zawięść nadzieje to zupeł nie co innego. Dodajmy od siebie!

Witold Dąbkowski: Nie może ulegać wątpliwości, że gdyby smiertelna rozprawa z trzecim z kolei rozbiorca — Rosją, zakończyła się w 1812 r. zwycięstwem, Królestwo Polskie znalazłoby przez Na poleona obudowane. Dowodzie tego tajny układ z Austrią, dotyczący odstąpienia przysięg Polce reszty Galicji za prowincję iliryskie. Równocześnie jed nak cesarz był zbyt ostroż ny. Pamiętał pobojowisko pod Eylau i nie chciał za kompromisowe pokój. Dlatego zadawolił się nazwanieniem tej wojny „drugą wojną polską” i zwołaniem Sejmu w Warszawie na ogłoszenie Konferencji Generalnej wkrzeszonego Królestwa Polskiego i Litwy. Własnej jednak deklaracji o wkrzeszeniu Królestwa, przed rozstrzygnięciem losów wojny, nie chciał ogłaszać. Był to z jego strony duży błąd, który przyczynił się do klęski. Coż — nie był nieomylny.

A na wszelki wypadek autor wspiera się świetnym cytatem z prof. Handelsmana: Nie za to naród polski sercem wspominał cesarza, że przagnął on rzekomo od budowania Polski, lecz za to przed wszystkim, że w szarym i smutnym paśmie dni, które składały się na nasze dzieje XIX wieku, czas cesarstwa są święta na przerwa, jasnym wspomnieniem własnego bohatera.

Jeszcze ciekawiej, z powodu innego aspektu, przedstawia się duża szkic Stanisława Stomma w „Tygodniku Powszechnym”. Uważając, iż zarzut, że „oszukał” jest naiwny, zaś stwierdzenie, iż „nie nie

nowych i wyposażenia okrętowego,

Były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Nixon oświadczył, że zgłosił swą kandydaturę na prezydenta z ramienia partii republikańskiej w przyszłorocznym wstępnym wyborach eliminacyjnych, o ile według jego oceny, kandydatura ta miałyby największe szanse.

Jeden z członków kierownictwa Komunistycznej Partii Japonii oskarżył Mao Tse tunga i jego grupę o zlikwidowanie Komunistycznej Partii Chin. Zdaniem japońskiego działacza maowskie czyski nie mają nic wspólnego z marksizmem-leninizmem.

Reuter donosi z Syjamu o nasileniu się działalności partyzantkiej w tym kraju. Ruch partyzantki ogarna północno-wschodnią i południową część Syjamu.

AFP: Zarządzającą nową eskalacją działań lotnictwa wojskowego w Wietnamie,

Witold Dąbkowski: „Stomma ujmuje rzecz w kategoriach ogólniejsze, zawsze aktualne, zawsze godne pamięci.

Kategoria „oszukał” jest w dziedzinie polityki nie na miejscu, jako beznadziejnie naiwna. Jeśli ktoś w polityce przyznaje się, że go „oszukano”, to przyznaje się do własnej naiwności, nie więcej. Świat nasz jest bardzo niedoskonały i niestety dotyczy to jak najbardziej właśnie dziedziny życia politycznego. Trzeba dążyć do stworzenia metod życia politycznego, ale tymczasem trzeba brać życie takim, jakim jest. W polityce nie ma altruizmu. Musi się więc przyjąć jako założenie, że politycy kierują się swoją racją stanu, czyli interesem swego państwa, a nie altruizmem. A jeśli tak, to na pewno jest wola nie, że „oszukał”. Z kóry musi się przyznać, że partner będzie się kierował swoją racją stanu. I dopiero przylazłszy do założenia, zdecydować to załóż, czy nie. I tylko tak rozumować mogli politycy Polski ery napoleońskiej. Zresztą, Księstwo Warszawskie to też był zysk! Bardzo możliwe, że bez dziełmy czytelnikami ciągu dalszego!

I NADZIEJA NA POLEMIKI

Druga nadzieja na polemikę — znowu dotycząca niestety dzieła literackiego, aczkolwiek przy okazji i Sienkiewicza. „Pan Wołodyjowski” w reżyserii Jerzego Hoffmana ma być ukończony, jeśli uda się obejść bez posłizgu, czego życzy

my, w sierpniu przyszłego roku.

Historiografia Sienkiewicza, psychiczna struktura jego bohaterów, jego skala wartości nastrożająca sporo kto potów nie tylko przed wojną i współczesnym, ale jeszcze nawet Bolesławowi Prusowi. Inna rzecz, że gołów jestem twierdzić, iż przelotnego czytelnika zawsze najbardziej obchodzily perypetie i pułapki romantycznie uformowanych bohaterów, będących w płatu swym rzędzie tworem imagi nacji. Nie mniej... Bohdan Czesko („Kultura”) zastanawiając się nad komplikacjami, jakie mogą towarzyszyć adaptacjom Sienkiewicza na użytek naszych znanych filmowców i nasz, opowiada o swojej pracy nad scenariuszem „W pustyni i w puszczy” i dochodzi do wniosku:

Z omówienia tego wynika, że dokonując adaptacji dokonalem wielu zmian wykraczających poza mechaniczną przeróbkę pracy na język obrazów następujących po sobie, które w przeciągu półtorę godziny mają możliwie wiernie oddać treść książki. Jeśli pracę tę traktuje się poważnie, nie można neglować tego zasobu wiedzy o świecie, który dzisiaj posiada każdy widz, kinowy, a którego autor nie posiadał. Mówię tu tylko o zasobie informacji nie wnioskując w swiatopogląd autora. Stąd wniosek, że dokonując zmian, których przykłady wyżej przytoczyłem, jest konieczne.

Czy konkretny przykład Czeski przekona innych, czy stanie się zasadą w stunku do adaptowanego Sienkiewicza to chyba sprawa na długo otwarta. Bo przecież to wszystko bardzo dobrze i wspaniale przycygo kapitana Klasa. JAN OLECHNO

Literackie kluby nauczycieli

Dalszy ciąg ze str. 1

łożeniu swym zmierzano do sprecyzowania wzoru takiego klubu literackiego.

Wydaje się, że na ocenę samego seminarium jeszcze za wcześnie i chyba uczyni to ktoś inny. Na razie można się ograniczyć do sformułowania kilku problemów, jakie postawili przed sobą nauczyciele piszący, są to: stan współczesnej literatury polskiej, sprawy codziennych kłopotów z odczuwaniem z dziełem literackim, a także nielatwe sprawy upowszechnienia literatury, kształtowania gustów czytelników, kształtowanie nowego stosunku do książki w okresie wzmożonego oddziaływania telewizji, radia, kina. Ważność tych problemów jest oczywista i dobrze się stało, że właśnie im nauczyciele ze wszystkich zakątków Polski poświęcili dwa tygodnie swojego wolnego czasu wakacyjnego.

Bogaty, jak nigdy, dorobek naszej literatury i jej dalszy rozwój wymaga wytrwałych jej nosicieli. Nie wystarczy jednak do spełnienia tej powinności tylko sucha wiedza literacka. To pierwsze literackie spotkanie nauczycieli dowiodło, iż literatura ma w nich gorących wielbicieli i aktywnych propagatorów. Poza tym, wśród grona zebranych znalazło się wielu, którzy sami próbują swych sił w piórze. Była to oczywiście tylko garść reprezentantów tej bogatej tradycji pisanego w środowisku nauczycielskim. Właśnie seminarium w Gdyni miało dokonać przeglądu aktualnego stanu i poczynić pewne (jak wspomniano wyżej) próby organizacyjnego ujęcia wszystkich działaczy ruchu czytelniczego i nauczycieli piszących.

Temu mają służyć wspomniane kluby literackie. Sformułowano już kilka ramowych postulatów dla przyszłych klubów. Do najważniejszych, jak się na razie wydaje, należą: ciągłe badanie stanu czytelnictwa wśród nauczycieli, organizowanie w zespoły nauczycieli piszących i ujawnianie ich dorobku twórczego, stałe seminaria poświęcone problemowi współczesnej literatury, więz nauczycieli z literacką prasą terenową, podejmowanie przez nauczycieli piszących tematyki współczesnej szkoły.

Bogaty to i ciekawy program działania klubów literackich nauczycieli. Potrzeba ich powstania również jest chyba w pełni uzasadniona. Może właśnie w tych zespołach narodzi się próba, ukazująca prawdziwy obraz współczesnego nauczyciela. Dotychczasowe przykłady bardzo często trąca schematem, stanowią nie-

rażko odbitkę wzorów z przełomu XIX i XX w.

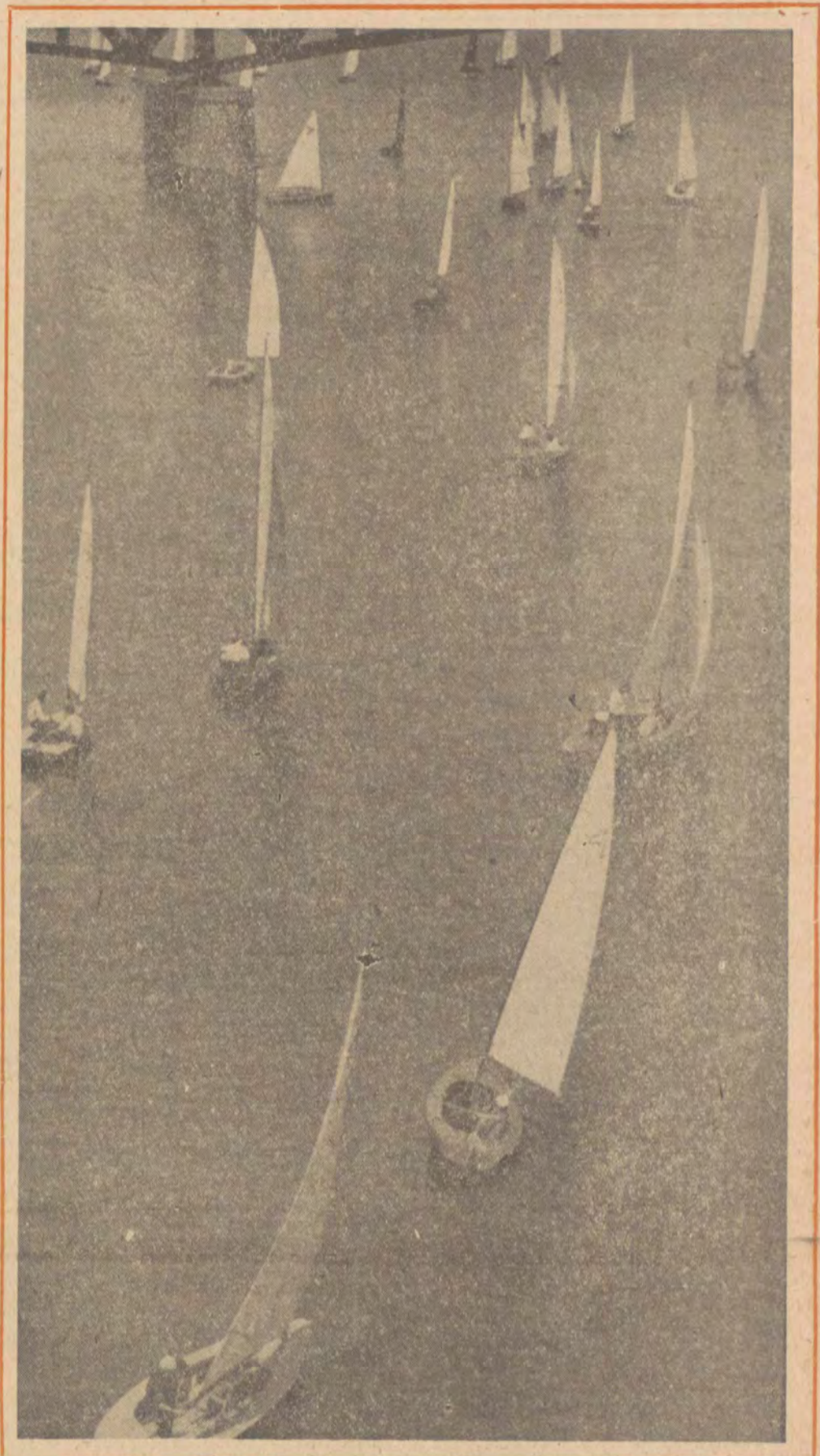
Tradycje pisarskie w środowisku nauczycielskim są przecież bogate, świadczą o tym choćby liczne prace pamiętnikarskie. Wydaje się, że i próby beletryzacji tematyki szkolnej mogłyby przynieść interesujące wyniki. Z pobieżnych już obserwacji widać, że tematyka szkolna cieszy się wśród czytelników — głównie młodzieży — znaczną popularnością. Wciąż jednak książek takich jest niewiele, a te, które się pojawiają np. Nizurskiego „Sposób na Alcibiadesa” natychmiast znikają z półek, inne, jeszcze przed ukazaniem się, budzą zainteresowanie, jak choćby Snopkiewiczowej „Tabliczka marmurowa”. A przecież nie są to autorzy zawodowo aktualnie związani ze szkołą. Nauczycielom piszącym, materiał faktograficzny znany jest jeszcze w szerszym zakresie i pod różnymi aspektami. Oczywiście trudno twierdzić, że w każdym zespole powstaną arcydzieła, ale przecież od prób dochodzi się do pięknych wyników, wskazując chociażby przykłady z twórczości J. Korczaka. Nie jest tajemnicą, że na przykład w dziedzinie dramatu, od dłuższego już czasu, w zakresie tematyki młodzieżowej i nauczycielskiej panuje żenująca posucha. Może się i w tym zakresie zmieniliby to i owo? To jeszcze na razie sprawa przyszłości.

Nie można przewidzieć w tej chwili, jak ostatecznie rozwinię się działalność klubów literackich nauczycieli. Pewne jest natomiast to, że inicjatywa i pierwsze jej kształty godne są poparcia. Nie trzeba szeroko uzasadniać, że kluby te liczą przede wszystkim na życzliwy stosunek terenowych oddziałów Zw. Literatów Polskich. Przecież w Łodzi do czestych należą przykłady kontaktów pisarzy ze szkołą. Wymienianie nazwisk literatów: p. Koprowskiego, czy Piechała, Jażdżyńskiego, czy Safrina nie wyczerpie sprawy. Warto przy tym zaznaczyć, że usługi mogą być obustronne. Sądzę, że skromny, jak na razie, przykład „Odgłosów” (niedawny konkurs „Największy sukces i największa porażka w mojej pracy zawodowej”) może być tego dobrym świadectwem.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że właśnie łódzkiemu literatowi powierzono pieczę nad Centralnym Klubem Literackim Nauczycieli w Warszawie. Szkoda, że niesprzyjające okoliczności nie pozwoliły mu uczestniczyć w seminarium w Gdyni, ale przecież sprawa jest do naprawienia w całej rozciągłości.

Garść tych uwag nie wyczerpuje ciekawego problemu, jakim są kluby literackie nauczycieli. Pierwsze sygnały wskazują, że jest to przedsięwzięcie pozytywne i ambitne, i że by się stało, gdyby efekty były mniejsze niż zamiary, a te, jak na razie, zapowiadają pomyślne perspektywy.

MICHAŁ DALECKI



Spotkanie z moskiewskimi czytelnikami „Odgłosów”

— Czas i życie płyną tak szybko...

W mieszkaniu przy ul. Wąrczyńskiej w Sieradzu przydzielonemu profesorowi i jego żonie na czas tegorocznego pobytu w jego rodzinnym mieście słowa znakomitego uczonego radzieckiego mają posmak głęboko filozoficzny, choć dotyczą sprawy uczuć, może sentymentu... Bo mówiliśmy o tym, że trzy lata temu, gdy profesora zapytano, kiedy ponownie odwiedzi Sieradz, odparł, że może już za rok. Z tego roku zrobił się potem trzy lata. Bo sentyment dla wspomnień młodości i rodzinnego Sieradza to jedna sprawa, a pracowite dni, wielkie dzieła myśli ludzkiej — to sprawa druga.

Trzy lata temu na uroczystej sesji sieradzkiej Rady Narodowej przyznano profesorowi godność honorowego obywatela miasta. Teraz przybył do Sieradza na kilka tygodni, aby w pobliżu domu, w którym się urodził, nasycić się klimatem miasteczka, odpocząć.

— Cieszę się — mówi prof. Sztternfeld — że mój przyjazd zbliżył się z wydaniem przez Szczecińskie Towarzystwo Naukowe mojej pracy na tematy kosmonautyczne. Na marginesie — wydaje mi się, że w społeczeństwie polskim wiedza o moich pracach naukowych nie jest jeszcze zbyt szeroka. Jest to broszura pt. „Ślady kosmonautycznych koncepcji z lat 1929—1936”.

O tej broszurze wydanej obecnie mówił również w przeddzień naszej sieradzkiej rozmowy — na posiedzeniu Prezydium Rady Narodowej Sieradza — w które został zaproszony jako honorowy obywatel miasta:

— Wśród koncepcji zawartych w niej niektóre zostały opracowane przed laty w Polsce — mojej pierwszej ojczyźnie, a potem zrealizowane w Związku Radzieckim — mojej drugiej ojczyźnie. Ta mała książeczka stanowi więc w pewnym sensie jedno z ogniw braterskiej więzi łączącej narody obu naszych krajów.

O wrażeniach po przyjeździe do Sieradza powiedział o tym samym posiedzeniu prezydium:

— Brak mi słów, by wyrazić wzruszenie, które mnie ogarnęło od pierwszej chwili pobytu w Sieradzu. Nigdy nie zapomnię troskliwej opieki i serdecznej gościnności. Proszę tylko o jedno — traktujcie mnie jak każdego innego człowieka.

Tutejsi ludzie są bardzo dumni z tego faktu, że współtwórcą teorii lotów kosmicznych, prof. Ary Sztternfeld, urodził się właśnie w Sieradzu, przecież i to wino, które w pewnej chwili wniosła do pokoju małżonka profesora, pani Ilza (pracownik redakcji polskiej radia moskiewskiego), wyprodukowane przez Sieradzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego nazywa się... „Kosmos”. Sieradzanie w rozmowach również nie ukrywają, że żyją i mieszkają w mieście... „kosmicznym”.

— Odpoczywamy tu intensywnie — mówi profesor.

Radziecy goście zwiedzili Sieradzkie Zakłady Przemysłu Dzierżawskiego „Siera”, obejrzeli jedną z największych w kraju plantacji róż w Sieradzu — właściciele jej eksportują te kwiaty do wielu krajów europejskich — wybrali się też do

Zduńskiej Woli (miejsce urodzenia żony prof. Sztternfelda), gdzie zwiedzili bogatą kolekcję kaktusów.

Ale rozmowa od czasu do czasu wraca do tematyki astronautycznej. Profesor odświeża w pamięci okres łódzki, kiedy to, w latach 1932—33, powstała jego podstawowa praca naukowa „Wstęp do kosmonautyki”, przeglądamy fotokopie licznych dokumentów i doniesień prasy radzieckiej i światowej. W tych „łódzkich czasach” „Głos Poranny” pisał w dniu 4 kwietnia 1934 roku: „Łódzianin laureatem międzynarodowej nagrody astronautycznej. 29-letni łódzianin przedstawił w roku bieżącym francuskiej Akademii Nauk oryginalne przyczynki z astronautyki stanowiące pierwsze komunikaty Akademii z tej dziedziny...”.

W 1962 roku paryska „L'Humanité” przedrukowała artykuł profesora sprzed 30 laty, w którym pisał on, że tylko państwo socjalistyczne może uczynić pierwszy krok w kosmos. Oto tytuł czołówki w jednej z polskich gazet z kwietnia 1962 roku: „Orbita lotu Gagarina i Titowa obliczona została przed 30 laty w Łodzi, a nie w Paryżu” — a pod tym artykuł Ryszarda Badowskiego z AR o osiągnięciach wielkiego uczonego, syna Ziemi Łódzkiej. Warto więc i dziś sobie przypomnieć, że na 11 orbit obliczonych przez prof. Sztternfelda, jeszcze przed początkiem ery kosmicznej, 7 zawartych było w rękopisie „Wstępu do kosmonautyki”, powstałym w Łodzi i przedstawionym w roku 1933 Komitetowi Astronautycznemu w Paryżu. Po orbitach tych krążyło wystrzelonych w okresie od 4 października 1957 roku do 17 kwietnia 1965 roku 128 sztucznych ciał niebieskich, spośród których 42 sztuczne satelity i planetydy wleciały w kosmos na orbitę obliczoną w Łodzi. Dodajmy, że dwa lata temu Akademia Nauk ZSRR przyznała prof. Sztternfeldowi tytuł doktora honoris causa za wybitne osiągnięcia naukowe, że

prace profesora miały w 35 krajach świata i w 31 językach 72 wydania.

— W Polsce — mówi profesor — ukazała się dotychczas moja książka pt. „Sztuczny Księżyc”, ukazała się jednak zbyt późno, bo dopiero w roku 1953, gdy w tym okresie było dostępne już bardziej pogłębione i trzykrotnie rozszerzone wydanie tej pracy.

A najbliższe zamierzenia w związku z pobytami w Polsce? Profesor Sztternfeld rozmawiał z rektorem UL, Józefem Piątkowskim i innymi naukowcami na temat ewentualnego spotkania z łódzkim środowiskiem naukowym. To spotkanie ma dojść do skutku w pierwszej połowie września.

— Czy wygłosi pan na tym spotkaniu odczyt związany z paną zainteresowaniami naukowymi?

— Na pierwszy rzut oka temat prawie oderwany, ale to tylko pozornie. Mój odczyt będzie miał tytuł: „Alibi pojazdu kosmicznego”, a zamierzam w nim odpowiedzieć na pytanie: Czy słynny meteorit tunguski był pojazdem kosmicznym?

I jeszcze o sprawach zwykłych. Kontakty profesora i jego żony z Sieradzem i Polską nie ograniczają się jedynie do sporadycznych przyjazdów do kraju. Przecież i w Moskwie, gdzie mieszkają stale, regularnie czytują polską prasę.

— Czytamy też łódzkie „Odgłosy” — mówi pani Sztternfeld. A przy okazji — dodaje — proszę pozdrowić od nas redakcję tego tygodnika. Od kilku lat jesteśmy jego wiernymi czytelnikami.

Rozmawiał:

FELIKS BĄBOL

Wakacje z kosą

Dalszy ciąg ze str. 1

wojennego pojawili się ludzie. U jego stóp, tego wzgórze, przemyczał często czerwony tramwaj, a oni kosili, błyskały ostrza z dala. Pod wieczór wzniesienie całkiem wystąpiło i okryło się sznurami kopic. Następnego dnia pogoda była niepewna, a w niedzielę i poniedziałek lato nie było. Tyle, że wicherów nie było, więc cięższe żyta nieco wycichły się; tu i ówdzie wychynęły ze srebrności fioletowe czapki ostów.

2.

We wtorek przetarło się, poblekitniało i rozsolonecznie ślicznie. Ludzie od rana już wychodzili, kiedy chłód jeszcze przy ziemi leżał, ale suchawo już się czyniło. Taki to czas do kosby najlepszy! Toteż całe rodziny stawały w polu, tylko babcia niektóra z najdrobniejszymi wnuczkami w chałupie zostawała. Gdzieś tam cięli samotni kosiarze, z pobieraczką tylko i ci odkaszali przy miedzach, by maszyna łatwo wjechać mogła. We wsiach jest i po pięć konnych kostarek, ale to bardzo mało. Są w okolicy dwie snopowiązałki ciągnikowe, ale jedna, zaraz po wyjechaniu w pole, nawaliła. Modlili się nad nią, kleli i doradzali majstrzy z kółka rolniczego, lecz cóż: — Maszyna wielka, a dosyć precyzyjna. Niech co trzaśnie, trzeba jak w zegarku grzebać, a tu cholera, części zamiennych nie znajdziesz! Kosą jeszcze przeważa przy sprzącie widziałem, jak się przy niej człowiek nameczy, żył napruje. Widziałem też w ruchu kosiarce! Konie ciągną, na stołku powożący batem zacina, a na drugim stołku facet siedzi i drewnianymi widelkami gotowe garście spycha, kobiety zaś idą z tyłu i wiążą snopy. Koło południa spotkałem przy drodze samotnego kosiarza: kosil, pobierał i wiązał. Młody jeszcze, suchy, czarnaawy, z długim nosem, po którym pot jak strumyczek ciurkał.

— Musi się pan tak w samo południe zarządzać?

— Bo to maszyna dzisiaj dostane a muszę odkosić, nie? Kobiła w przeydium dorabia, dzieciaki za mało, to sam koszę. Jasne, że w południe żadna kosa nie weźmie, bo metal mleknie od gorąca i tnie ciężko, że plakać się chce.

— Kosiarce lepiej się oplaci?

— Kosiarz, ale to dobry kosiarz, przez dzień żelnie męga, a kosiarce — 4 morgi. Snopowiązałką znowu można przez godzinę spruć cały hektar, i tylko 240 zł. się zapłaci. Gdyby to tak wylczyć, to ile się zaoszczędzi grosza i tego żmęczenia. Zresztą, teraz jest łatwiej o kosiarza niż o pobieraczkę.

— No? A to niby dlaczego?

— Jest zażenowany, mówi z uśmiechem.

— Pobieranie to jest pieruśko ciężka robota. Baby się delikatniejsze stały więcej o modę, o gładkie ręce dbają. Wiele jest też wykształconych, a inne znów wolą w mieście pracować niż w gospodarstwie tyrać. A ja sobie myślę, że jak tak dalej pójdzie, to tylko maszyna może wieść w czas

zniczny uratować, bo inaczej — kłapa.. Słowa młodego rolnika potwierdziły się później.

Znow ujrzałem samotnego kosiarza. Siwiuteńki był, ale z czupryna jeszcze gęsta, tyle że twarz w siateczce zmarszczek, a broda się trzęsie, na nogę słabuje, że kijaszkiem musi się podpierać. Osiemdziesiątka już dziadkowi wybiła, lecz kosi uparcie, wgrzyza się powoli w lan żyta, męczy się, choć pokosik na niecały metr bierze. Przysiadła ze mną na miedzy zadyszany, w mokrej od potu koszuli. Czestuje papierosem, ale sam nie pali.

— Może tak długo przez to flukę się po ziemi — śmieje się. — Ano, ni ma kto kosić. Syn miał pomóc, ale w fabryce było Matki Boski Pieniężny, to się zapil w gospodarstwie. Córka z zięciem na Mazury sobie poleciała, jeszcze mi dwóch sraluchów zostawili. Takie to dzisiaj czasy — wzdycha.

— A dawniej to pewnie inaczej było? — pytam zaczepnie.

— Eee, — kosiło się, kosami aby no i długo się przez to ciągnęło, i podwieczorki dawali, a teraz zlikwidowali dodaje z żalem. — A ta moda z kopkami, znaczy z mendkami, to na wieś ze dworu przyszła. Kiedyś kładło się żyto na garście, przewracało, by przeszło i wiązało w snopy — po siedem garści. Nieraz się naplakałem, bo ojciec go nił, a jak się taki snop podawało na wóz czy do somsiaka — ozy na wierzch wylazły. Mendelek — to był mendelek: 15 snopów ków, i równiutko ustawione wszystko, nie tak jak dziś — po łebkach. Szybciej ludzie robią dzisiaj, mniej się narobią, inaczej.

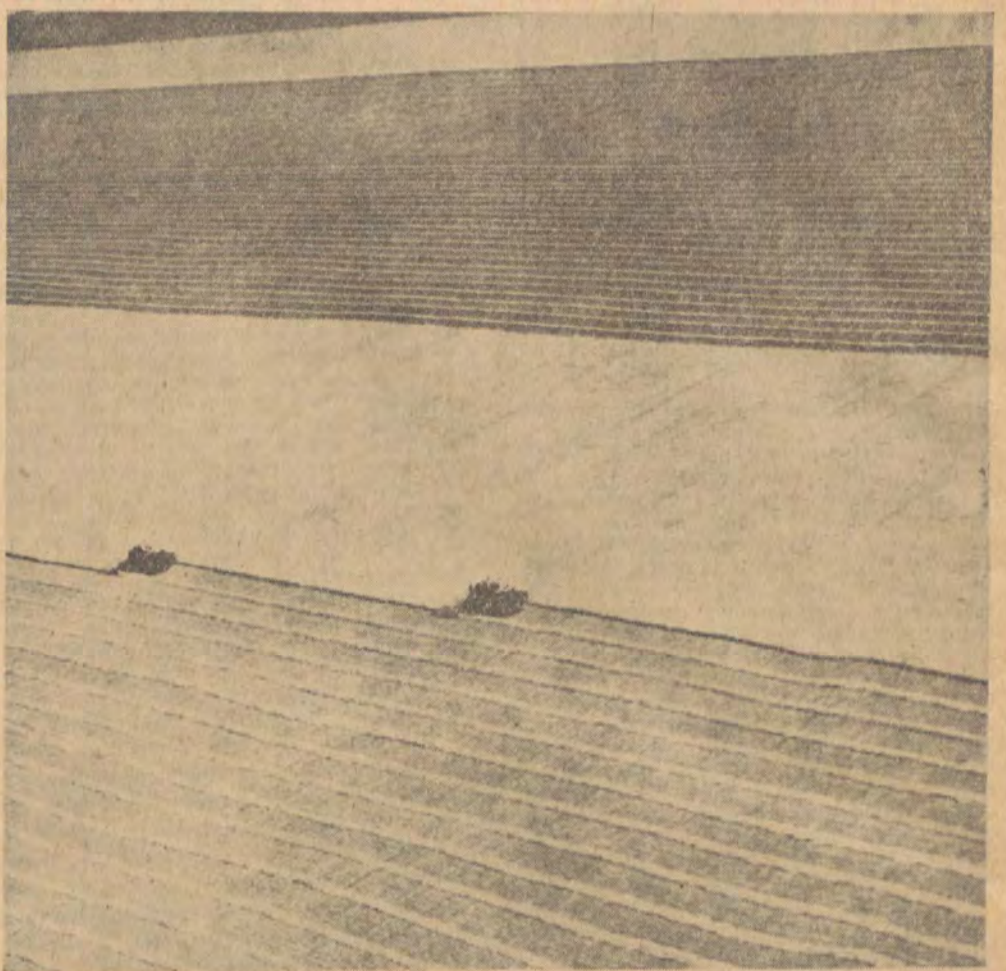
Widzi, że notuje.

— Kochany, jak ty chcesz o żniwach napisać, to weź się sam do roboty, posmakujesz.

3.

Posłuchałem dziadkowej rady. Zacząłem od pobierania. Kosiarza miałem średniego, lecz i tak zdążył skośić stajkę i dogonić mnie przed końcem. Z nieba lat się żar, powietrze rzadkie i nieruchome, cholerna duchota, potęgowana zapachem rozgrzanej słomy, a ty człowieku gnij się do ziemi, szarp pogmatwane źdźbła i układaj na garście ale równo, żeby poszarpane wiechcie nie wyszły. No i wiązanie — do tego trzeba mieć drygl! Nie mogłem sobie z tym poradzić i dlatego mnie kosiarz doganiał, dublował. Nie miałem już dość siły, aby moim ścisnąć snop i związać, to przyciskałem go z całych sił nogą. Płjesz co trochę, bo się można udusić, a tu ci zaraz wszystko z powrotem wycięka po plecach, twarzy i pośladkach. Czy w bańce, czy w garnku glinianym, choć w cieniu, w lubinie postawisz napój — za pół godziny ciepły i mdły od słońca. Jedynie wytłżnienie — przy zakurce. Siedzi się wśród owadziwego koncertu, z dala słychać jaskot targańca przy kosiarce, ciepla kos, chrzest i szum ciętego zboża; gdzieś indziej niesie się warkot ciągnika samotny, zamigocą skrzydła snopowiązałki. Lénia pięknie nagie torsy, w jakimś obrzędowy taniec układają się rytmiczne ruchy żniwiarzy. Podchodzisz bliżej i widzisz pot zalewający oczy, i ręce czerwone od pokutę, i pozielone paznokcie pobieraczek.

Następnego dnia wziąłem się do koszenia. Z początku nie mogłem uchwycić tego drygu do równego prowadzenia kosy, toteż co trochę zarywałem w ziemię, a szcztotka rżyska powyryzana była okropnie. Ale nie święci garnki lepia; po godzinie paprania poszło lepiej! Słowo daję! Tyle, że w marnym, rzadziutkim żytku sioma wyrastała mi za tyłkiem i nie dzwota — takie podaje się kosie i zostaje. Nawoz to dobra rzecz: zboże rośnie grube i ciężkie, ale chylił się; przy takim życie kosiarzowi po dwudziestu machnięciach mdleją ramiona. Srogo zapła citem za żniwne praktykowanie; nazajutrz przy wstawianiu z łózka zdejmowałem nogi przy pomocy rak. A przecież w ten nerwowy i upalny, pełen znoju czas — pracują również dzieci. Widziałem je przy pobieraniu, i przy koszeniu; widziałem, jak zastępują na rżysku stajfowskie pfciońce — ciągną wielkie grabie i zgarniają targus.



Potem piszą w szkole wypracowanie o najpiękniejszych dniach wakacji, a piszą krótko: „Ja nie miałem ładnych wakacji, bo musiałem stać pracować. Nie lubię wakacji”.

Byłem u pewnej wdowy co samotnie mieszka w polu. To prawie kaleka, niedolna do pracy. Mąż jej pod siebie robił łajnem się bawił z głupoty mu się zmarło. A ona sama prawie pod kątem prostym przyglądała do ziemi. Ciężko rodziła synków, co teraz po miastach siedzą. Chcieli ją zabrać do siebie, ale nie rozumieją serca starej kobiety: ile leż i trudu kosztowało zdobyć gospodarstwo. Jakże ją teraz zostawić. Jak ze żniwami? Przecież z odrobek nie pójdzie. Wynajmie, a zapłaci groszem uciulanym, co go zdobyła za mleko od krów.

Wiele jest takich wdów, wielu ludzi starych na gospodarstwach siedzi. Jest również decentralizacja, niech więc rady громадзkie i opiekunowie społeczni nie śpią; niech tym ludziom pomoc jakąś dają.

4.

Są sprawy, które cieszą. Bo oto jestem u gospodarza we wsi pod lasem, który mówi: — Kosę to ja klepe raz na trzy lata — niepotrzebna. Panie, maszyna się zawsze skosi. To nie jest taki drogi interes. Inni nie kupują, bo im się nie oplaci. Kiedy maszynę nabyłem, dziadek kłął i zbrozczył, nie pozwolił kosić. Ledwo co byłem po ślubie, a tu o 3 rano przyjechał z batem i z łózka mnie spędzał. Potem i do maszyny się przyzwyczail, nawet nie dał sprzedać, choć tylko żartował. Widzi pan tę stołotę? — Stodola potężna stoi, niczego sobie. — Do tej stodoly jeszcze po wojnie czterech gospodarzy zboże składało, a teraz ja sam ledwo się pomieszczę, tak. Żniwa to nawet lubię, tylko kopań nie cierpię. We żniwa to się zejdzie z pola i spokój — po robocie.

Zastanawiałem się, komu się nie oplaca kupować maszyn ani zabiegać o uprawę ziemi. Nie oplaca się ludziom, których nazywają chłopami-robotnikami, a tych w podlódzkich wsiach jest średnio 60 proc. Jak

sobie radzą ze żniwami? Przecież wszystkim nie da się na ten czas urlopu, bo by, do diabła, fabryki w Łodzi i Pabianicach stanęły. Niektórzy po pracy stają do kos i wyprawiają z siebie żyły. Są i mieszkający na wsi, ale bez ziemi, którzy pracują w zakładach uspołecznionych, np. w cegielni. W okolicy jest znany Kaska, bo w cegielni ciężko haruje i cegłę z maszyny odbiera, a po robocie rusza z kosą w pole. Ten na wodę robi, mówi, że go ona wmacnia. Więc jak Kaska zarobi, to urznie się w trupa, psa do chałupy sprowadza włazi z nim pod stół i babę szczerze. A jak się gorzej rozeżli, to kobite dusi pod pierzyną, meblami przyciska. Kobiety z cegielni; też nieraz przy żniwach dorobią, ale rzadziej. Zresztą pobieraczka nigdy za kosiarzem nie nadąży — muszą być we dwie. Jedna tylko była, która stale na kosie siedziała, ale ta jakoś z niemiec, na palcu sprytnie winała. Jeśli idzie o chłopów-robotników, to jed nak sobie radzą.

— Człowieku, młody, to nie kapujesz... Choruje się. Przybierasz minę złozonego Chrystusa, surowych kartofli sie nawuszasz — gorączka jest jak jasny gwint, a w polu sobie obrobisz.

Teraz mnie już nie dziwi zachowanie dwóch takich kosiarzy, którzy po każdym pokosie rwali w rzaki.

Odwiedziłem kilka sklepów wiejskich. Smalec nie wszędzie dostaniesz. W jednym sklepie usławiłem kawalek solonej słoniny, gdzie indziej kilka butelek letniej oranżady. Ale to nie. Ze dwa czy trzy dni ludzie gnali do miast po chlebie! Oj, rzuciłbym jakimś ciężkim słowem pod adresem handlu. Ci, co chleb zbierają — bez chleba, bez wędliny? Przy takiej robocie? Wiem, że moje oburzenie za późno, lecz może na przyszłość się przyda. Dziś już pola szarżają, już tylko kopki szeregami sterczą na posiwiałych rżyskach. Pozostały zagony bladezielonych ówsk.

Niewielką Amerykę odkryłem przy tych żniw opisie, lecz z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że poetyckie wyrażenia o chłopskich pocie i łzach w ziemi wiaskłych — sprawdzają się.

RYSZARD BINKOWSKI

LESZEK DZIĘGIEL

Tam gdzie rosną lodowce

Od kilku godzin jechaliśmy serpentynami doliny Jostedal, które wily się wzdłuż rzeki. W pewnej chwili kierowca naszego Volvo dostrzegł coś czego my, zmęczeni podróżą, nie zdążyliśmy zauważyć. Gwałtownie zjechał na pobocze szosy i zahamował. Pobieglśmy za zakręt i spojrzeli w dół urwiska.

O dziesięć metrów niżej leżał rozbity Volkswagen z niemiecką rejestracją. Mój znajomy, Svein Vold, dyrektor muzeum w Amli zagadnął o szczegóły wypadku chłopców, którzy pilnowali rozbitego wozu. Tym razem Niemiec miał szczęście! Młode świerki, które jego Volkswagen ściał staczając się ze stołu — uratowały mu życie. Samochód zatrzymał się na nich i nie potoczył niżej ku klipaczej wśród skalnych porohów rzece.

— No cóż, — tu Norweg uśmiechnął się jakby z pewnym zakłopotaniem — nasze szosy są niezłe, ale niezbyt bezpieczne, z czego wielu

zagranicznych turystów nie zdaje sobie sprawy.

Przypomniały mi się teraz porządnie wraki samochodów pod Bergen, opowieść o pewnym młodym małżeństwie francuskim które utonęło wraz ze swoim Renaultem w jednym z jezior zachodniej Norwegii, a także pewien Holender, który po czterogodzinnej jeździe w górę dzikiej doliny Setesdal niemal biegał tamtejszych farmerów o wskazanie mu jakiejś „bardziej normalnej” drogi. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z szosą jaką nasz Volvo wdzierał się w głąb maszywo górskich prowincji Sogn og Fjordane. Im bardziej na północ tym rzadsze stawały się osiedla i farmy. Droga była kręta i tak wąska, że na pewnych odcinkach samochody nie mogły się mijać. Co pewien czas zza zakrętów naprzeciw nas wybiegały olbrzymie cieczarówki Skanpla Vabis wypelnione drewnem. Wtedy cofaliśmy się szybko kilkadziesiąt metrów wstecz ku najbliższemu rozszerzeniu, szosy wykutej w skalach. Cieczarówka z hukiem przewalała się koło nas a my, jechaliśmy dalej. Gdzieś tam za siwo-brunatnymi urwiskami skał, z

których raz po raz spadały pasma wodospadów, krył się lodowiec Jostedalbreen. Wprawdzie nie najwyższy, bo liczący sobie 2083 metry, ale za to najrozsłbiejszy w Europie. Podłużna, kopulasta czarna lodu i śniegu, która swoim ciężarem miazdy powierzchni granitowych skał na proch i ten pył skalny niszcza lodowcowe rzeki w dół doliny, ku wcinającym się w ład zatokom Sognefiordu.

Takich rzek jak te, które płyną spod norweskich lodowców daremnie szukałbyśmy w Polsce. Najdżik sze potoki górskie naszych Tatr wyglądają łagodnie w porównaniu z tymi masami spienionych wód, które z okropną siłą pedza skalnymi rynnami w dół. Widziałem odcinki długości kilometra i więcej będące jednym kłębowiskiem wirów i kaskad. Woda waliła tam w skałę z taką siłą że nad całym korytem uno siła się wilgotna mgła rozbrzyzdów, a fale tryskały w górę na wysokość trzech metrów. Nie dziwnego, że zachodnia Norwegia, tak zwany Vestlandet ma największe w całym kraju zasoby energii elektrycznej czerpanej ze spadku wód. Wodospadów jest tutaj tysiące już choćby dlatego, że nierozpuszczalne, twarde skały krystaliczne z jakich zbudowane są tutejsze góry — nie pozwa lają wodzie nigdzie wsiąkać. Gromadzi się w nieckach górskich jezior, przelewa potokami, naszcza lesne torfowiska szumi wodospadami po urwiskach.

Do podnóża lodowca wiedzie kil-

ka bocznych dolin. Wjechaliśmy w jedną z nich uiszczając opłatę za prawo wjazdu przedstawicielom lokalnych władz gminy Jostedal. W ciągu letniego sezonu lodowiec Jostedalbreen oglądają tysiące turystów, przybywających tu autokarami lub prywatnymi samochodami. Drogi dojazdowe konserwuje gmina sama, skrupulatnie pobierając opłaty od każdego, nie czyniąc wyjątku dla godności ni urzędu. Jeżeli ktoś nie chce płacić, niech sobie zostawi samochód na parkingu i wdręje parę kilometrów pieszo.

Lodowiec jest tak rozległy, że można go naturalnie oglądać z różnych dolin i okolic. Tłoku przy nim mimo sezonu nie ma. Przez furtkę w ogrodzeniu z drutu, przeciągniętego w poprzek dolinki wjechalimy ku odnodze lodowca zwanej Nigardsbreen, między płytymi wycielonymi skał. W głębi ukazało się biało-niebieskie czoło lodowego jeziora. Wyglądało dziwnie staro i zmurszałe. Tak jak gdyby je pocieto jakimś gigantycznym nozem. U stóp, w skalnej misie — jeziorce. Po powierzchni melnej, popielatej wody lodowcowej pływały kawałki kry. Było cicho, bezwietrznie, tylko potoki spływające ze stoków górskich szumiały jednostajnie. Mimo że była już godzina dziesiąta wieczór i słońce dawno zaszło, okolice zalewała ta osobliwa jasność zmierzchu, która trwa w lecie nawet na południu kraju przez całą noc i powoduje, że w czasie pobytu w Norwegii ani razu nie widziałem gwiazd. W owej wieczornej poświa-

cie język Nigardsbreen wyglądał martwy jak otaczające go skały. Ale nie zawsze tak było. W XVIII wieku lodowiec jak gdyby ożył. Wówczas zimem lawa Nigardsbreen zaczęła gwałtownie pełznąć w dół doliny, pochłaniając coraz to nowe pola uprawne i bastwiska. Teraz znów lodowiec się cofnął i zastępy w głębi gór jak przycięzony potwór.

Wracaliśmy tą samą drogą, a siedzący na werandach nowoczesnych, drewnianych, willi farmerzy Jostedalu machali nam przyjaźnie. O dziwni byli w grube, wzorzyste swetry z szorstkiej wełny, gumowe buty sznurowane do kolan i płócienne czapki. Większość z tych ludzi znała Sveina Volda nie od dziś, gdyż jako konserwator zabytków prowincji Sogn og Fjordane, przemierzał te obszary od lat. Dzięki jego niezmordowanemu poszukiwaniom muzeum skansenowskie w Amli pod Kaupangerem zgromadziło kilkanaście starych narzędzi drewnianych wraz z wyposażeniem wnetrz i tyślicami zabytkowych narzędzi których nikt już dzisiaj na farmach Sognu nie używa. On to również uratował przed zniszczeniem przedziwne zbiory zaklęć magicznych i przepisów czarnoksięskich, jakimi jeszcze przed kilkudziesięciu laty miejscowi górale usiłovali pomagać sobie w przeciwnościach losu. W gablotach muzeum można teraz oglądać zapisane na poślózkach kartach szkolnych zeszytów zaklęcia, a także starodawne strzelby-skal-kówki, niedozowne ponoć w czasie polowania na wilkolaka...

Na zachodnich rubieżach województwa kieleckiego leży sobie Aleksandrów Opoczyński. Ot, wioska pięćdziesiąt numerów licząca; domków kilka murowanych, reszta — chałupki pod strzechą; z dala od ważniejszych dróg, od traktów kolejowych, czasem tylko autobus przeleci wzbijając tuman żółtego piachu i krzyk wiejskich dzieci, siedzących w kucei przy rowie. W takim to sielskim, seczystym krajobrazie — rozłożyła się, na letni odpoczynek, pewna łódzka kolonia...

1.

Kolonii w Polsce mamy tysiące, i temat to, stary jak świat. Co rok, w okresie letniej posuchy, szanujące się czasopisma zamieszczają wybór listów spod wezwania: „kochane pieniażki przyjdźcie, rozżeciel”; zdarzają się pisma interwencyjne (żle mi tu, tatusiu, wczoraj) dali na kolację robaczywą kielbasę) i pisma aprobujące kolonijną rzeczywistość (bardzo mi się wszystkim podoba, bo zawsze mięso jest na obiad). Na podstawie tych publikacji, można sobie wyrobić mniej więcej kulawy pogląd na temat kolonijnego bytowania, ale o wiele lepiej zbadać sprawę własnym okiem — toteż wybrałem na chybił trafił obozowisko w Aleksandrowie Opoczyńskim.

Jakoż okazało się, że nie jest to obozowisko w ścisłym tego słowa znaczeniu; nie namioty, nie szatały, tylko obszerna murowana bryła w środku wioski, przyspობiona na okres wakacyjny do potrzeb kolonii. Już trzeci rok Łódzkie Zakłady Przemysłu Węglanego „Wiosna Ludów” dzierżawi ten budynek, który — trzeba to od razu powiedzieć — wcale od tej dzierż-

kiedy wysiadzie we wsi elektryczność? Zdarza się to często, nawet bardzo często, i wtedy aby uchronić mięso i wędlinę przed zepsuciem, trzeba to wyjąć z bezużytecznej lodówki (bo lodówka bez prądu nie działa) i schować — znakomity pomysł — do studni na podwórku, bo piwnic i żalnych chłodnych schowków w pobliżu nie ma.

Dlaczego walczy? No bo — jako się rzekło — Aleksandrów Opoczyński, nie pozabawiony wprawdzie swoich uroków, nie jest miejscem najatrakcyjniejszym. Kolonia letnie, to, w wyobrażeniu dzieci, przede wszystkim — słońce, las i woda. Słońce — owszem lato stulecia... Ale las daleko, a do wody aż cztery kilometry. Taki spacer do wody jest dla starszych, ale dla najmłodszych, chyba zbyt na co dzień forsowny. I tu jednak, dzięki ofiarności kierownictwa, znalazło się wyjście. Dzieci skoro dopisuje pogoda wsiadają na platformę „Żuka”, i słoczono niemiłosiernie na niewielkiej nawierzchni jada w czterech tursach nad rzekę Czarna — płytki i dość grząski dopyw Pilię; znajduje tam namiastkę plaży i wrażeń kąpieliska które podnosi wydanie zaangażowany na sezon ratownik.

Przy tych wszystkich, niebagatelnych kłopotach — łódzkie dzieci zadowolone są z kolonii. Pewnie — nie jedno wołoby nad morzem, w górach, na jeziora-h spędzić lato... Tak się jednak składa, że ZPW „Wiosna Ludów” od lat bezskutecznie zabiega o pozyskanie dla swojej kolonii jakiegoś atrakcyjniejszego miejsca (wychodząc ze słusznego założenia, że sprawiedliwość wymaga, aby istniały równe wymiary miejscowości pomiędzy dziećmi z różnych instytutów i z różnych stron kraju, aby sprawa ta pokierować centralnie).

nika to jednak z konieczności i nie jest celem samym w sobie. Poza tym — istnieje samorząd kolonijny. Dzieci temu dzieci i młodzież mają prawo uczestniczyć w układaniu planów zajęć i rozrywek, mogą narzucić swoją wolę; o! na przykład, poproszono kierownika o wyjazd nad Pilicę. Przychylił się do tych prób. Innym razem, z inicjatywą młodzieży zorganizowano zabawę taneczną na którą zaproszono młodzież wiejską. To znów ognisko dla okolicznej ludności, to znów spotkanie z uczestnikami obozowiska harcerskiego, położonego w pobliższych lasach. Dzieci sa w wielu wypadkach inicjatorami takich imprez, a rozsądny kierownik i życzliwi wychowawcy sławiają sobie za cel realizować, czy pomagać dzieciom w realizacji tych zamierzeń...

— Dzieci, choćby najmłodsze, trzeba traktować poważnie — mówi pan Kowalski. — Ile w nich dumy i wdzięczności za to. Zorganizowaliśmy niedawno sportową imprezę: skok w dal, wznwyż, biegi, rzuty piłką pselantową, rozrywki pomiędzy grupami w siatkówkę. Oprawa była co się zowie... Z pompa, bez pobłażliwych uśmiezków nas starszych. Zwycięzcy otrzymali autentyczne dyplomy, zapewne pierwsze w życiu. Pokonani dostali książki i słodycze, na pocieszenie... Jestem pewien, że ta impreza, właśnie dzięki tak poważnej oprawie, pozostanie w ich pamięci na długo.

3.

Stosunek okolicznej ludności do kolonii jest bardzo przychylny. Gorącym zwolennikiem kolonii został sam wójt; gości tu często, pomaga organizować capstrzyki i ogniska. W długie letnie wieczory kolonia wro wadza we wsi pewne ożywienie. Kierownik stara się przyciągnąć do zabawy także wie-

skie dzieci. Rozmawiałem z pewnym młodym mieszkańcem Aleksandrowa; powiedział, że gdyby nie kolonia, trudno byłoby tu wytrzymać. Bo nudno, Brak wszelkich rozrywek. Jest wprawdzie w jednym domu pod strzechą coś w rodzaju klubu „Ruchu”, ale zamykają go akurat wtedy, kiedy rolnicy schodzą z pól, a dzieci rolników i młodzież wiejska też przecież ciężko pracują i w trakcie dnia nie mają czasu na zabawę.

— No dobrze — zapytałem — ale co wy macie z tej kolonii?

— Choćby i te capstrzyki, ogniska. Choćby to, że oni są weseli, śpiewają, puszczają płyty... Coś z tej radości udziela się i nam... Nietawne jest życie na kieleckiej wsi. Ciężko i skuczno, Starsi, to sobie jeszcze jakoś radzą. — Nie ma gospody, to co druga chałupka pędzi bimber. Nie ma telewizorów i kina, to ludzie zajmują się plotkami. Wzburzyła się niedawno wiejska opinia przeciw kierownikowi miejscowej podstawówki. Za co? Właśnie. Za co? Za nic. I choć kierownik miał poważne osiągnięcia w nauczaniu — nosi się z zamiarem porzucenia pracy w szkole...

Nietawne jest życie w Aleksandrowie Opoczyńskim. Starsi mają bimber i plotki.

A młodzież? Młodzież zapatrzyła się w łódzka kolonia. Ta znowu w nie najlepszych warunkach w nie bardzo atrakcyjnej miejscowości, walczy ze szlachetnym uporem o swoje wakacyjne prawa.

I ja myślę, że ta walka jest potrzebna bo każda nowa zdobycz kolonii staje się jednocześnie zdobyczą wioski. Umywaliśmy, wodociągów, odmalowanych klas i korytarzy — kolonistów do Łodzi nie zabiorą. Zostawia też po sobie wspomnienie ognisk capstrzyków, pełnych pasji zawodów sportowych i rozśpiewanych wieczorów.

MACIEJ WYSOCKI

Jak to na koloniach ładnie

wy nie ucierpiał. Łódzkie Zakłady odnowiły i zmodernizowały wiejską szkołę — odmalowały własnym kosztem korytarze i klasy, założyły wodociąg — prymitywny wprawdzie, bo czerpiący z cembrowanej studni, ale zawsze... wreszcie za sprawą zakładu powstały umywalki z których łódzkie dzieci korzystają przez dwa letnie miesiące, a dzieci wiejskie — choć niechętnie — cały rok. Nie moja to sprawa, aby poddać krytyce projekty niektórych wiejskich szkół — bez wody, z połowymi latrykami — nie moja powinność tłumaczyć architektom, że tam, gdzie są boiska i sale gimnastyczne, — powinno być także przyzwoite zaplecze sanitarne — ja wziąłem sobie za zadanie pokazać, jak to w nie najlepszych warunkach, w nie najatrakcyjniejszej miejscowości — walczy o swoje wakacyjne prawa pewna łódzka kolonia.

2.

Dlaczego od razu walczy? No bo pomyśleć — Aleksandrów Opoczyński jest na uboczu, z dala od miast i osiedli. W Aleksandrowie nie ma sklepów, ba, nawet gospody. Trudności z zaopatrzeniem. Kolonia dysponuje wprawdzie samochodem, ale do Kiele i Piotrkowa jest daleko, no i drogi fatalne... Przyjmijmy jednak, że zaradna in tendentka i operatywny kierownik podolają tym trudnościom, że przewieziona specjalnie z Łodzi ogromna lodówka jest wypełniona po brzegi mięsem i wędlinami. Ale co robić,

Myślę, jednak, że tak, jak nad morzem, w najpiękniejszej okolicy może się zdarzyć zła kolonia, tak w Aleksandrowie, wsi nie wyróżniającej się niczym specjalnym — dobra. Dzieje się to za sprawą odpowiedniego pokierowania zajęciami i rozrywkami młodzieży. Mam jeszcze w pamięci kolonia, w których sam uczestniczyłem kilkanaście lat temu. Brrr... Clarki mi przechodzą po krzyżu na samo wspomnienie. Pruska bezmala dyscyplina, cztery apele dziennie, pięć capstrzyków, publiczne napomnienia, dyscyplinarne zwolnienia z obozu za najmniejsze przewinienie... Na wielu koloniach ten stan rzeczy utrzymał się do dziś, o czym pisał niedawno pewien krakowski dziennikarz. Na wielu koloniach kierownictwo, a za jego przykładem także poszczególni wychowawcy — pokrzykują od rana do wieczora na biedne, skołowane dzieciaki i straszają je po nocach marsową miną. Zabijają to — rzecz oczywista — całą radość odpoczynku, wakacji; w ciągu dwóch miesięcy dziecko wycierpi więcej, niż w szkole przez cały rok...

Kolonia w Aleksandrowie Opoczyńskim, którą wybrałem na chybił trafił z długiego rejestru obozowisk, uniknęła na szczęście takich srogich wychowawców. Kierownik, p. Antoni Kowalski, jest z zawodu polonistą, uczy w jednym z łódzkich liceów. Doświadczenie pedagogiczne i wiedza humanistyczna pozwalają mu na ograniczenie obozowego rygoru do minimum. Sa wprawdzie apele, zbiórki, sprawdzanie obecności — wy-



Fot. K. Czapinski

— Ludzie tutejsi bywali bardziej przesądni niż w innych częściach Norwegii — wyjaśnia nasz znajomy — lecz trudno im się dziwić. Od pokoleń mieszkali w górskich pustkowia. Obcowali z dziką, nieubłaganą przyrodą otaczającą ich samotne farmy. Nieraz do najbliższej osady ludzkiej było kilka godzin drogi. Jeszcze dziś niedługo starzec czy staruszka, nie chcąc śladem dzieci i wnuków przenieść się do miasta, żyje na starej farmie, w górskiej głuszy — i wierzy po części w trole. Wiedzą w czarodziejski świat skrzatów i obrzymów, czarownic i leśnych widziadł. Gdybyśmy się zna li w ich sytuacji — kto wie, jakie myśli zaczęłyby nas nachodzić w tych pustkowiach?

Kiedys, u schyłku średniowiecza, gdy Czarna Śmierć wyłudniła Norwegię, w dolinie Jostedal umarli na dżumę niemal wszyscy mieszkańcy. Pośród garstkii pozostałych przy życiu była tylko jedna kobieta i — jak mówi podanie — dzisiejsi farmerzy Jostedalu to potomkowie właśnie tej kobiety. Minęły wieki i góry Sognu wyłudniają się ponownie. Tu, w zachodniej Norwegii, nie było nigdy takich wielkich, samodzielnych gospodarstw chłopskich, jakie od niepamiętnych czasów istniały we wschodniej części kraju, w Gudbrandsdalu czy Hallingdalu. Górale krajin zachodnich fiordów byli ubożsi. Stąd to właśnie najwięcej wyjechało Norwegów w XIX wieku do USA i Kanady, w poszukiwaniu pracy i chleba. Dziś, mimo intensyfikacji

gospodarki hodowlanej, modernizacji pracy farmera i niezłej koniunktury na produkty rolne — uciekają młodzieży do miast trwa nadal. Portowe ośrodki przemysłowo-handlowe takie jak Oslo, Stavanger czy Bergen, dają możliwość szybszych zarobków, większych wygód. Podobno co roku w tych stronach wyłudnia się przeciętnie 18 gospodarstw.

— Widzi pan ten kościółek? — zapytał Vold pokazując na sterczącą pośrodku doliny kamienną wieżę. Przed kilkudziesięciu laty jakiś podróżujący po Norwegii lord angielski usiłował namawiać mieszkańców Jostedalu ażeby mu kościół sprzedać, gdyż chciałby ustawić go w swoim parku. Oferował niezłą cenę, ale farmerzy ani słyszeć nie chcieli o transakcji. Wreszcie, by się pozbyć natręta, zaproponowali że wymienia kościół na... córkę lorda, która podróżowała wraz z ojcem. Cudzoziemiec się wycofał.

W podobny zapewne sposób w ubiegłym stuleciu król pruski wszedł w posiadanie innego kościółka norweskiego, w dolinie Valdres, w miejscowości Wang. Stojący tam od czasów średniowiecza drewniany kościółek o przedziwnej konstrukcji „stav”, charakterystycznej wyłącznie dla Skandynawii, zakupił ów monarcha i przewieźć kazał do dolnośląskich Bierutów. Ciekawe jaką cenę zapłacił ten cudzoziemiec norweskim farmerom...

Górzysty kraj fiordów ze 180-kiło-

metrowym Sognefjordem na czele to najatrakcyjniejszy teren Norwegii, ścagający co roku do Norwegii setki tysięcy turystów zagranicznych. Obszar ten jest jednak tak olbrzymi, że przebywając tu w lecie rzęza turystów niknie gdzieś i — poza głównymi szlakami komunikacyjnymi — nie rzuca się w oczy. Ale zachodnia Norwegia to nie tylko teren międzynarodowej rekreacji, lecz również krajina prastarej tradycji, sięgającej niekiedy jeszcze epoki Wikingów. To przecież tu znajdują się najpiękniejsze kościółki drewniane typu „stav” sprzed przeszło 700 lat, jakich daremnie szukalibyśmy w innych częściach Europy. Najstarszy z nich, pochodzący z pierwszej połowy XII wieku kościół z Urnes, stoi samotnie nad brzegiem Lusterfjordu i ażeby się doń dostać, trzeba płynąć motorówką. Kościółek posiada rzeźbione portale pochodzące z istniejącej na tym miejscu świątyni chrześcijańskiej jeszcze z XI wieku! Ażeby sobie uzmysłowić niezwykłość tego zabytku wystarczy dodać, że my w Polsce nie posiadamy drewnianych budowli w całości zachowanych które pamiętałyby np. czasy Bolesława Krzywoustego. Nasze drewniane kościółki pochodzą z epoki o wie le późniejszej.

Widziałem to niewielką, starodawną świątynię stojącą u stóp leśnej góry. Jej portale wyrzeźbił nieznaną artystą średniowieczny w istnia płatniane węży i smoków, włódnycy ze soba ból śmiertelny już tak od dziesięciu wieków. Kto wznosił

na tym odludziu kościół, którego ornamentami zachwycają się dziś historycy sztuki? Kto sprowadził do kościółka kosztowne lichtarze wykonane w najświetniejszej emalii średniowiecznej Francji, w Limoges?

Legenda ludowa mówi, że nad brzegiem fiordu stała niegdyś zagroda bogatego i potężnego właściciela okolicznych ziem. Po drugiej stronie góry natomiast mieszkał młodzieniec, który zakochał się w córce gospodarza. Kiedy ojciec dowiedział się o ich tajemnych schadzkach, nastąpił na chłopca płatnych zbirów, którzy zamordowali go na wybrzeżu. Zrozpaczona córka podłożyła ogień pod spiechr, w którym mieszkała i spłonęła żywcem.

Ant archeologowie, ani historycy nie natrafili na jakiegokolwiek ślady średniowiecznych osad ludzkich koło kościółka w Urnes. Może zmiotła je kosćcześnie Czarna Śmierć? Zagadka Urnes czeka na rozwiązanie.

Góralskie dialekty zachodniej Norwegii przez całe wieki otoczone były pogardą mieszkańców miast, posługujących się językiem oficjalnym, pozostającym pod silnym wpływem duńskiego. Różnice były tak minimalne, że XVIII-wieczny norweski komediopisarz Ludvig Holberg, rodem z Bergen, zaliczany jest jednocześnie do literatury norweskiej i duńskiej. Po zerwanu unii z Danią w roku 1814 norweski język używany w miastach zaczął się wzbrywać duńskich naleciałości. Nie koniec jed-

nak na tym! Niejaką Ivar Aasen, pisarz i filolog-samouk, ułożył w oparciu o pogardzane do niedawna dialekty zachodniorweskie górali gramatykę i słownik tak zwanego języka neonorweskiego. Obie te odmiany językowe istniały w Norwegii obok siebie i mają zarówno zwolenników jak i zaciekłych wrogów. Stronicy konserwatywnego języka i neonorweskiego drukują ulotki, broszury propagandowe, afisze. „Neo norweszczyzna Ivara Aasena popularniejsza jest naturalnie w zachodnim kraju fiordów. Trzeźwi obserwatorzy wróżą obu odmianom językowym wymieszanie się i połączenie w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat. Tymczasem natomiast Norwegia jednego literackiego języka nie posiada...

W parę dni później opuszczałem góry Sognu, schodząc z pokładu promu, który przywiózł mnie do przystani Laerdal. Była to najdalej na wschód weśnięta w ład odnoga fiordu Sogne. Wraz z niewielką grupą pasażerów wsiadłem do autobusu, który miał nas powieźć przez góry starą królewską drogą przez Tyinn i Valdres na południowy wschód. Wierchołki gór tego dnia spowijały chłodne mgły. Skalne ściany odbijały się ciemnymi plamami w lustrze fiordu. Nad kopułastymi grzbietami Tyinnu śniapł kapuśniaczek. Po dwa godzinach jazdy otworła się przed nami zielona, porośnięta świerkiem dolina Valdres. Kraj wilgotnych skał i pelzających lodowców pozostał w ciemnej chmurze.

Opowiadania

Stół

Teraz już nie mieszkam z rodzicami. Zalażyłem własny dom. Odwiedzam rodziców w Wielkie Święta. Ojciec siada przy stole. Oplera łokcie o twarde blaty i myśli. Czyta książkę. Półśmiennym palcem przewraca te same kartki już czterdzięci lat. Przy stole ojciec mówi o polityce, przy stole ojciec obejmuje matkę. A gdy umarła babcia, to ojciec nie płakał nad nią, tylko podszedł do stołu. Położył na nim ręce. W drewno wsączały się łzy. Gdy otwieram drzwi wiem, że ojciec powita mnie przy stole. Przy stole śladamy wszyscy, a ojciec mówi: Matka nakryj stół białym obrusem. Mama wyjmuję klucze z fartucha, na którym żółcą się kwiaty. Otwiera drzwi debowej szafy. Drzwi skrzypią jakby je kto zarzynał. Mama patrzy na ojca i tym patrzeniem przypomina, że trzeba drzwi zreperować. Z wnętrza szafy wycieczył chłodem. Na surowych deskach niby płyty śniegu leżą obrusy. Mama rozchyła tę biel, kładzie na rękę. Ze środka wyjmuję obrus najczystszy, którym okrywa stół w Wielkie Święta. Gdy obrus rozwija pachnie maglem i wiatrem. Obrus zwisa z jej rąk jak kwitnąca gałąź czeresni. Leje się niby wielkonoce ciasto. Tkanina jest mięsista, fałduje się niby szaty na postaciach drewnianych światek. Na krawędzi obrus ozdobiony jest wokół kwiatami barwniejszymi od bieli. Kwiaty są wszysze w obrus. Gdy ich dotykam, czuję zgrubienia płatków. Wtedy gdy umarła babcia, na obrusie w srebrnych lichtarzach paliły się świece. W pośrodku płomyków steżał jak tynk wiszą ręce przebite gwoździami. Babcia leży na łóżku okrytym białym płótnem. Ubrana w czarną suknię wygląda jak chuda wrona na śniegu. W złożonych rękach trzyma różaniec. Wytarte kulki w kostkach są jak spalony owoc głogu. Tyle razy przesuwane palcami babci teraz spoczęły w nich na wieki. Modlitwy odmówione na okrągłym, oszlifowanym drewnianym już są w niebiosach. Świadczą o pobożności i życiu steranym. Teraz łóżko jest zastane dokładną ręką matki. Już dziesięć razy kwitły jabłonie. Mama obciąża obrus, rozprostowuje fałdy i pagóry wierzchem spekaną dłoń. Stół jest białym polem. Napadało przez noc śniegu po kostki. Boję się dotknąć bieli, żeby nie stajala pod moimi palcami.

Leonard

Naszym wodzem był Leonard. Mieszkał na Świętego Ducha w białym domku z zielonymi okiennicami. Miał rude, kasztanowate włosy. Za Leonardem każdy z nas szedł w ogień. Ufaliśmy mu bardziej niż matce. Był naszym ojcem. Jego gwizd zrywał od stołów. Stawaliśmy przy nim gotowi wypełnić każde polecenie. Pochwalał z jego ust była orderem. Leonard powiedział — ukradnij — kradłem. Dla Leonarda byliśmy gotowi zabić gdyby tego zażądał. Po wiem o sobie. Gdy wieczorem kłękalem przy łóżku

i odmawiałem modlitwę z ram obrazu patrzył na mnie Leonard. Łokcie miał oparte o omszały stół, Włosy spadały mu z ramion. Z fałd niebieskiej sukni wystawały bosa, umorusane stopy, okręcone rękawicami. Patrzył na mnie ze światła. A ja mówiłem do niego z taką mocą, że ta jasność namalowana wchodziła we mnie. I było we mnie tak jakby nad polem śpiewały skowronki. Ziemia pachniała oborą. Szemrał malowany strumień. A od tej wewnętrznej mocy zimne kropki wyskoczyły mi na czoło. Lęk ogromny mnie przejął, że modłę się do Leonarda, lecz on był nieublagany, wyczuwał moją bojaźń. Wstając z kłęczek daremnie chciałem znaleźć w jego oczach przebaczenie. Długo, z otwartymi powiekami leżałem pod chłodną pościelą. Aż do pokoju wchodziła matka. Zdmuchiwała dzień.

Stary ementarz. Groby też stare. Porosłe wysoka, mocną trawą. Nigdy już nie widziałem tak mocnej trawy. Nie dała się zerwać, przecinała skórę. Leonard siedział na przewróconym krzyżu. Nie patrzył na mnie. Nawijał na rękę wysoką trawę. W ramionach krzyża spekana fotografia kobiety. Na policzku odprysła porcelana. Biały kołnierzyk wyłożony na ciemną sukienkę. Weszliśmy przez przewrócony płot. Gdy wszyscy się zjedzą, zacznie się zabawa.

Daleko na gwiazdach

Za nim szedł Gruby. Pod jego człapiastymi stopami chrząkał śnieg. Nie ogląda się, ale wie, on za nim idzie. Jego oddech parzy mu kark jakby ktoś przystawił w to miejsce świeczkę. Śnieg skrzy się jak na chołnce szych. W powietrzu jest cicho, mroźnie. Gwiazdy w niebiosach są jak gwoździe wbite w deskę. Ani drgną. Nagle z są drzewa wyskoczył biały zawijas. Zakręcił po trzewikach tak, że przez skórę poczułem lód. Rozbił się o niego i wpadł na Grubego. Gruby zakaszlał.

— Ty, daleko jeszcze do krzyża! — krzyknął a w piersiach zaczęło mu chrobotać.

Musiło być daleko. Droga biegła w nieskończoność. Pomyślał. Gruby jest chytry, chowa się za mną jak za końskim zadem. Wtedy wpadło mi to do głowy. Podszedłem do drzewa. Plecami przywarłem do kory.

— Ty, co robisz — Gruby stanął przed nim. Patrzył jak na dziwadło. Złączyłem się z drzewem. Z korą. Z mrozem.

— Ty co robisz. Szlag cię trafi. Szarpie jego ramię. Zużel, strupy, grudy. Co to jeszcze może być. Jak to można nazwać. Huczy mu w głowie jak woda na młyńskim kole.

— Ty, chodźmy już. Dojdziemy do krzyża, to będziemy w domu. Grunt dojść do krzyża. Potem wszystko będzie jasne. Waską drogą dojdziemy do sanatorium. Bo tak ci powiedzieli. Ty, słyszysz! Czy tak ci powiedzieli? A tam już będzie fajnie. Zobaczysz. Ciepło, siostrzyczka jak aniołek. Ty, nie wy-



Rys. A. Grun

glupiaj się. Słyszysz! Jezusieńku, tak mi zimno, że nawet kuśka mi zmarzła.

Oderwał go od pnia. Na plecy spadła bryła lodu. Gruby puścił jego ramię. Pobiegł parę kroków. Odwrócił się. Wyciągnął ręce.

— No, chodź przedłutko. — Idźcie z głową wykręconą. Kiwa tłustymi palcami. Biegają przedko. Z ust bucha para. Daleko na gwiazdach skrzypi krzyż.

Choroba wielkości grochu

Leży na żelaznym łóżku. Oni poszli do Miasteczka. Gruby poszedł, Malarz, a nawet ci z trójki. Poszli drogą skrzypiącą od mrozu i teraz na pewno śpią w objęciach dziewcząt. Przewrócił się na bok, policzek przyłożył do poduszki. Przyplął głos Malarza: och, jak ja to lubię, chłopaki, och, jak ja to lubię. Zimna pościel rozgrzewa się od jego krwi. Pokradli ubrania z magazynu, kocami wyglaneowali buty, przyczesali włosy. Poszli.

W oczach ma świerki, rosły, dźwigające zwały śniegu. Jak tu przyszedł z Grubym zobaczył te świerki, potężne, stojące na ziemi chmury. I pomyślał sobie wtedy, że chyba na całej ziemi nie ma takich pięknych świerków.

W Miasteczku był w dzień. Chodził po uliczkach i myślał o tym, że ma w sobie chorobę. Znał jej rozmiary. Choroba wielkości grochu. Tak to sobie powiedział po cichu. W szybie lacha mięsa na pniu, obok białe kwiaty z bibułki. Tak zobaczył Miasteczko. I jeszcze jedno przydarzyło się w Miasteczku. Po raz pierwszy od tego czasu jak się dowiedział, że ma w sobie chorobę, uśmiechnął się. Właśnie po tej myśli o jej rozmiarach. Wydała mu się mała i godna politowania.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Do Zagłoby, którego konterfekt wisi w gabinecie poety

Jesteś upity i ja też upity,

Ty słodkim węgreń, ja ciemną goryczą;

Ty wąs podkręcasz, ja modnie obsmyczon

W szelki jak mieszczech bawarski nabity.

Ty z ezolem coram populo odkrytym,

Nade mną ludzie, sny i bestie krzyczą;

Ciebie na rękach noszono, mnie leżą

Każdy ścieg kroków nierówno zeszyty.

Lecz ciebie bocian nie przyniósł jak innych,

Ale słoneczny uśmiech, ptak tęsknoty

Za Arkadyi krajem pogan złotym.

A jam, że wiarę wyniosłem z infimy

W ścisłe sentencji z żywotem przymierze —

Ni vir dilectus, ni jak staré harecerze.

Lokacja Siennicy

W pogorzelskim lamusie otwartym na przestrzał,
O murlatach z łopianu i krokwiach z powietrza,

Z dzieł i wąklie wygarniam konwencję i temat:
Przyszło miasto lokować, którego już nie ma.

Na rynku stawiam ratusz. Wiatr weń dme okrutnie:
Zgubił jeden z wymiarów i wsparł się na płótnie;

Kalenicę ma wklesła, galeryjkę w garby,
Ogacenie z werniksu, belkowania z farby.

„Podkowiński” i „pinxit” umieszczone z boku...
Przekroczył parkan z powietrza i czas, i pięć kroków...

A znajdziez kościół z drewna, które modrzew zwie się,
Starzec z brodą w nim mieszka, jak w złoconym lesie.

Biskup tam Piotrowina rad wskrzesza codziennie
I trwa wifastwosowe Panny w blask wleccenie.

O staj klasztor. Czas mierzy jak słońce zegary,
Gdyż złożył go z baroku i blasków Solari.

Nad nim stopnie obłoków: białe i najbielsze;
A za nim seminarium jest nauczycielskie.

Tam duchy pilek klaszcza, duchy dzwonek buczą:
Pan Gnoiński, pan Pierzan budze dzieci ucza...

Jest domostw osiemdziesiąt z policją agrestów,
Mieszkańców tysiąc pięćset... i bodaj trzydziestu,

O tych mówi się Żydzi, o tych gospodarze,
Włos odmiennym florem okala ich twarze.

Ci w czarnych odzieżadach, ci w rumianej barwy —
Posplatani na amen jak parkan i malwy.

Wzajem sobie sprzedają w Dzień Świętej Jadwigi
Rogule, len, kapoty, płótno i motyki.

Jeszcze miedz tu brakuje, Spód Janówskiej miedz
Patrzą na mnie, żywego, z zazdrością koleczy.

Brak tu ruchu i gwaru — bo Są, Których nie ma:
Biskup wskrzeszać mógł zmarłych, a ja tylko... temat...

Jacy to dziwni ludzie ciężkimi krokami
Weszli tu, za przybrane w astry wspomnień ramy!

Toż Greka Heraklita nie znając imienia,
Dowiedział, że kós z duszą jest kształtem płomienia;

Niemca Kantia nie mając w swoim regimencie,
Zmienili czas bezwzględny w kształt wiotkiej pamięci.

Lokuję dziś — o, smutne ubóstwo nadania! —

**Bliskie
α
nieznane**

Medytowaliśmy długo, gdzie pojechać na wczasy: w góry czy nad morze. Raz zwyciężała koncepcja górską, a raz morską, braliśmy pod uwagę wszystkie za i przeciw, jak to zwykle bywa w naradach rodzinnych. Niestety z Łodzi wszędzie daleko. Czy zapadnie decyzja taka czy owaka, czeka nas siedem do dziesięciu, a może i więcej godzin jazdy koleją. W skwarze i toku, po pociągu przeladowanym, że nie ma gdzie pałać wetknąć. Więc żeby uniknąć targania waliz, zmęczenia i innych plag, wpadliśmy na ośniewającą prosty pomysł (wszelkie ośniewające pomysły są proste): pojedziemy na wypoczynek do Arturówka. Tak, tak, to jest właśnie ten Arturówek pod Łodzią, w którym trochę więcej niż przed rokiem oddano do użytku nowoczesny dom wypoczynkowy „Przaśniczka”.

Postanowione, zrobione. Nie zawiedliśmy się. Jeszcze raz potwierdziło się znane ludom przysłowie: nie szukaj na dziesiątej wsi tego, co możesz znaleźć pod bokiem. Wiemy niby, że okolice podlódzkie są niebrzydkie i obfitują w lasy. Ale dla wielu z nas jest to wiedza czysto teoretyczna, książkowa. Trzeba dopiero pojechać i zobaczyć, by się przekonać, jak wiele jest jeszcze do odkrycia na własnym terenie. Dostaliśmy pokój na pierwszym piętrze z balkonem (wszystkie pokoje w „Przaśniczce” z balkonami), na wprost przed nami, wielkie wspaniałe drzewa, a przez ich korony prześwieca blizcząca w słońcu powierzchnia stawów. Kto chce — pływa, kto chce — jeździ na kajaku, kto chce — wyrzewa się na brzegu, a jeszcze inni spacerują po lesie. Bo las tutaj piękny. Pachnie w nim mchem i grzybami. Sosny, jodły, świerki, brzozy, trochę modrzewi, no i dużo dębów, tych drzew istic królewskich.

Przyjechałem tutaj, żeby popisać, ale przecież można pogodzić jedno z drugim: pracę i wypoczynek. Tak zwany absolutny wypoczynek, czyli nienierobienie zupełnie mi nie odpowiada. Absolutny wypoczynek to dla mnie prawdziwa udręka. Więc rano aż do południa praca, a po obiedzie — spacer, długie spaceru po lesie, w którym mało ludzi, mało wrzasku tranzystorów, natomiast dużo ptactwa, które szczególnie w nocy daje znać o sobie pokiukiwaniem, śpiewem i nawoływaniem w sobie tylko znanym języku. Kto żądny rozrywek, proszę bardzo: do dyspozycji piękna sala z telewizorem, szafa grająca, pianino, bilard, gazety. Raz w tygodniu przyjeżdża

kinó. Widzieliśmy znakomity film francusko-włoski „Gamoń” z Bourvillem w roli głównej, wyświetlony na szerokim ekranie (bo w świetlicy „Przaśniczki” przewidziano wszystko, nawet duży ekran). Bał Pewnego dnia przyjechało (któży się tego spodziewało) dwóch iluzjonistów na występy. Oczywiście, poszedłem, bo bardzo iluzjonistom lubię. Zapowiedziano występ magika „Bengalia”. Jakież było moje zdziwienie, gdy się okazało, że jest to mój dawny znajomy, którego poznałem przed kilku laty pod całkiem innym nazwiskiem i w całkiem innych okolicznościach. W tzw. międzyczasie zdążył zmienić zawód. No cóż, młody wszystko jeszcze przed nim, podczas gdy człowiek zaczyna się coraz częściej oglądać za siebie — na przebyta drodze. Tutaj, w „Przaśniczce” mogłem się również przyjrzeć pracom naszych łódzkich grafików. A to niby gdzie? — spytaacie. — Zorganizowano tam jakąś wystawę, czy jak?

O, nie. Po prostu ktoś wpadł na doskonały pomysł i zarówno ściany korytarzy jak i ściany w pokojach udekorował pracami graficznymi. Znajduje więc tu szkice Kondka, Płociennika, Liberskiego i innych. Bardzo interesujące rzeczy. Niektóre z nich już widziane, ale to, co dobre, chętnie ogląda się po wielokroć.

A któregoś dnia zjechał do Arturówka sam „Film Polski”. Przed „Przaśniczka” stanęło kilka samochodów, założono kable, reflektory, na tarasie ustawiono stoliki, na nich kilka butelek z oranżadą, obok rozrzucone „malowniczo” leżaki i fotele. Jak to zwykle przy zdjęciach filmowych, przygotowani i szumu starczyło na kilka godzin, a zdjęcia trwały kilka minut. Zjawili się jakiegoś kociak z rozwianym włosiem, no i mnóstwo rozmaitych organizatorów, kierowników, techników, pomagaczy, którzy z tajemniczym wyrazem twarzy coś między sobą szepotali, przedstawiali rzeczy z miejsca na miejsce, chodzili tam i sam, słowem: siali podziwi i przestrasza. No i ten fason, ten sztyk, te wdzianki. Od razu wiadomo, że to specjaliści z filmu. Nikt się nie pomylił, nikt nie weźmie ich za inżynierów, adwokatów, robotników i innych normalnych ludzi. Każdy weźmie ich za filmowców. Było sporo uciechy wśród wczasowiczów, zwłaszcza dzieci miały zajęcia w ten dzień chmurny i deszczowy. Młode dziewczęta spożywały z zazdrością na kociaka z rozwianym włosiem, co rusz z którejś młodzieńczej piersi wyrwało się westchnienie: żeby też kiedyś trafić do filmu, dostąpić zaszczytu choćby statystowania. Bo statystki, którzy także tu przyjechali, mieli mnóstwo. Jakby każdy z nich był co najmniej samym Gustawem Holoubkiem.

A wszystko, moi kochani, blisko, można powiedzieć pod bokiem i zupełnie za darmo! Znaczy się to widowski filmowe za darmo. Bo za pobyt na wczasach trzeba płacić, co — jak sędzę — jasne jest dla wszystkich.

**ZENON
RUDNICKI**

Z warsztatu łódzkich filologów

W Uniwersytecie Łódzkim pracuje od dwóch lat dr Arwed Spreu, docent Instytutu Germanistyki Uniwersytetu Humboldt w Berlinie, który był uczniem światowej sławy językoznawcy, prezydenta SAS k'ej Akademii Nauk, prof. Theodora Fringsa trzykrotnie posiadacza tytułu doktora h. c.

Arwed Spreu zajmuje się m. in. niezwykle nas interesującym zagadnieniem, jakim są wpływy języka polskiego na język niemiecki. Tak np. już w XII wieku wszedł w użycie wyraz „Kummet” pochodzący od naszego „choma-to”; w wieku XIII „Grenze” od naszego „granica”; w wieku XIV „Quark” od „twaróg”; z tureckiego poprzez polski „Ulan” od „ulan”; „Droschke” od wyrazu „drożka”. W dialekcie berlińskim istnieje po dzień dzisiejszy zwołanie przynaglające do szybszego wykonania pracy: „dali, dali!” od naszego „dalej, dalej!”.

W czasie swego długoterminowego pobytu naukowego w ZSRR, Belgii i Holandii zajmował się Arwed Spreu głównie problematyką związaną z cybernetyką a językoznawstwem ogólnym oraz teorią systemu. Wyniki swoich badań przekazywał naszym studentom w czasie swoich niedługich pouczających wykładów. Jednakże jako współpracownik niemieckiej encyklopedii w zakresie historii literatury flamandzkiej i holenderskiej kontynuował A. Spreu w Łodzi swoje główne badania nad warstwami narracyjnymi i ich formalnym określeniem w powieści Multatuli'ego pt. „Max Havelaar”.

Z uwagi na znakomitą pozycję, jaką zajmuje ten utwór w literaturze światowej warto przytoczyć niektóre informacje o tym dziele.

W maju 1860 roku ukazała się w Holandii powieść pt. „Max Havelaar”, utwór nieznanego wówczas pisarza Multatuli'ego, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Eduard Douwes Dekker. Dokładna znajomość panujących na Jawie stosunków kolonialnych popchnęła autora do tego literackiego wystąpienia.

„Max Havelaar” wywołał burzę. Pierwszy nakład został szybko wyczerpany i jednocześnie wprowadził swego twórcę do literatury światowej. Powieść ukazała się następnie w setkach wydań i była tłumaczona na wiele języków, m. in. na język polski w roku 1903.

W niekompletnej bibliografii A. J. Mara wymienia się ponad dwa tysiące tytułów dotyczących Multatuli'ego. Pobieżny przegląd tych prac pozwala zauważyć że zajmują się one głównie życiem autora niewątpliwie burzliwym, jego stosunkiem do kobiet i pieniędzy, stanem jego zdrowia lub choroby oraz jego negatywnym stosunkiem do powszechnie utartych pojęć o obowiązkach urzędnika państwowego.

Jako 18-letni młodzieniec wyrusza Dekker w roku 1838 do Batawii. Tam przeżywa nieszcześliwą miłość, po czym przenosi się na zachodnie wybrzeże Sumatry. Opieszale wykonuje swoje obowiązki księgowego i tam zawiera związek małżeński. Po dłuższym pobycie w Holandii wraca znowu w roku 1855 na Jawę i obejmuje stanowisko asystenta przy wysokim urzędzie rezydenta w Lebecce. Usiłuje wywrzeć wpływ a rezydenta, aby ten zaareztował i wytoczył proces tybuleczemu księciu za ucisk i wyzysk ludności. Nikt nie popiera tego stanowiska i Dekker zostaje surowo ukarany.

W swojej 17-letniej karierze urzędnika kolonialnego podejmuje Dekker nieustannie próby niesienia pomocy tybulecom, jednakże w końcu zmuszony jest ustąpić ze swego stanowiska. Usiłuje stworzyć sobie nowe warunki egzystencji, zostaje się z żoną i dziećmi, którym nie może zapewnić utrzymania i wówczas, we wrześniu 1859 roku, decyduje się na spisanie swoich przeżyć w służbie kolonialnej.

W przeciągu czterech tygodni pisze swego „Maxa Havelaara”. Antykolonialna i humanistyczna postawa autora jest w powieści tak po mistrzowsku zarysowana, że nawet zagorzali przeciwnicy musieli się liczyć z tym dziełem.

Zadanie, jakie postawił sobie Arwed Spreu w swojej rozprawie polega na naukowym udowodnieniu, że powieść Multatuli'ego można traktować jako idealny wzorzec do dyskusji o współczesnym sposobie i strukturze narracji. W tym utworze ma-

my bowiem do czynienia z następującą strukturą: narrator I, Batavus Droogstoppel, dokładnie przedstawia epicką sytuację i służy jako relief dla wzniołej historii głównego bohatera, Havelaara. Droogstoppel wprowadza II narratora Ernesta Sterna, który otrzymuje polecenie na pisanie książki z pakietu manuskryptów. Sterna opowiada więc historię życia Multatuli'ego w trzeciej osobie (z daniem uwag narratora II w pierwszej osobie), podczas gdy Droogstoppel uzupełnia je komentarzami w pierwszej osobie.

Obie warstwy narracji powodują zmiany w użyciu czasu: Droogstoppel używa czasu teraźniejszego, Stern przeszłego. Narrator I otrzymuje szczególne znaczenie dzięki temu, że jego fikcyjny charakter jest narzucony przez autora i występuje on jako przeciwieństwo Havelaara, symbolizującego realne życie; jest uosobieniem bezdusznego człowieka interesu, który zna tylko pieniądze i giełde, który spokojnie ciągnie zyski z Holandii i potwornego wyzysku Jawy.

Za wyjątkowo udane należy uznać wprowadzenie przez Droogstoppela narratora II, Ernesta Sterna. Mimo że również Stern jest wytworem fantazji, on właśnie opowiada historię Havelaara. Pasjonująca gra między fikcją a rzeczywistością stwarza iluzję rzeczywistości, jak również konstytuuje samą rzeczywistość. Godne uwagi jest również rozwiązanie fabuły poprzez opowiadania: obok siebie znajdują się epizody z życia Havelaara, wiersze, komentarze do zwyczajów i obyczajów, opowiadania folklorystyczne, aforyzmy ujęte w ramach akcji.

W końcowej fazie powieści, autor sam zabiera głos, kiedy kieruje apel do króla i tym samym wprowadza trzecią warstwę narracyjną. Powołuje się przy tym wyraźnie na rzeczywistość przedstawionych wydarzeń i nawołuje do walki przeciwko systemowi wyzysku.

Arwed Spreu podejmuje pró-

bę interpretowania tego dzieła przy pomocy metod matematycznych, szczególnie statystycznych. Autor rozprawy wychodzi m. in. z założenia, że ważnym, aczkolwiek nie rzucającym się bezpośrednio w oczy elementem jest długość zdań obu warstw narracyjnych, która można liczbowo określić, co z kolei może służyć interpretacji i funkcji tych wartości w tekście literackim.

Liczne wykresy i obszerne tabele uzupełniają opisową część rozprawy. A. Spreu. Praca ta podsuwa myśl, aby także u nas w szerszym zakresie podejmowano próbę tego rodzaju opracowania tekstów literackich.

Z ubolewaniem przyjmujemy fakt, że Arwed Spreu udaje się już niebawem na dłuższy pobyt naukowy do Belgii, gdzie zajmować się będzie językoznawstwem niemieckim i flamandzkim dialektologią. A. Spreu opuścił z żalem nasze miasto, z którym się bardzo żywi, dlatego tym bardziej życzymy znakomitemu uczonemu dalszych sukcesów w jego pracy naukowej.

**KSIĄŻKI
NADESŁANE**

Jerzy Harasymowicz — Wybór wierszy — Czyt. z. 25.—

Józef Ratajczak — Ogniwa Wpoz. z. 13.—

Jalu Kurek — Kantata profesora Wróbla WLit. z. 12.—

Ignacy J. Kraszewski — Ada. Sceny z życia WLit. z. 35.—

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Tragikomedia J. Menzia „Pociąg pod specjalnym nadzorem” jest kolejnym osiągnięciem filmu czeskiego. W 1966 roku zdobyła „Grand Prix” na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mannheim. „Pociąg pod specjalnym nadzorem” są filmem szczególnie interesującym dla polskich kinomanów: podejmuje na gruncie czeskim te problematykę, która u nas zajmowała się w swoim czasie polska szkoła filmowa. Akcja „Pociągów” rozgrywa się podczas ostatniej wojny. Ukazuje cywilów pracujących na małej stacji kolejowej. Zwierucha wołenna nie docierała tam przez długi okres, pozwalając ludziom żyć z dala od problemów, jakie ze sobą przynosi, pozostawiając ich jak gdyby w izolacji od historii i całej przykrych ówczesnej rzeczywistości. Przychodzi jednak chwila, kiedy izolacja ta brutalnie zostanie przerwana. Bo od historii uwolnić się nie można. I zwykły zbieg okoliczności zadecyduje o tym, że ktoś zostanie bohaterem. Zupełnie przypadkowo. Nie z świadomego wyboru, bez przemyślanej decyzji. Po prostu dlatego, że losy ludzkie przedziwnie krzyżują się ze sobą prowadząc nieoczekiwanie do zaskakujących czynów i zdarzeń. Jest to więc nie tyle opowieść o bohaterstwie (z którym zresztą wiąże się jedynie finał filmu), co o naturze przeciętnego człowieka i jego uwikłaniu w historię. Jest to film, który mówi o tym, jak czasy w których żyjemy przeraszają możliwości przeciętnych ludzi, którzy nie mogą w niczym zmienić tego, co niesie rzeczywistość. Mogą tylko żyć z



Wysoką klasę artystyczną „Pociągów pod specjalnym nadzorem” szczególnie łaskawo uświadamia ze stawienie z rumuńsko-radzieckim sensacyjnym dramatem wojennym „TUNEL”. Trudno porównywać te dwa filmy szczerotowo, każdy posiada bowiem odmienną poetykę gatunkową. Zestawiając je pomimo to, mam na myśli jedynie pokrewieństwo tematyczne i najbardziej ogólną ocenę wartości artystycznych. „Tunel” reżyserowany przez F. Munteanu odnosi się do wydarzeń z przełomu sierpnia i września 1944 roku, a więc do okresu, w którym armia rumuńska zwróciła się przeciw wojskom niemieckim. Problem wojny jest chyba wciąż

jeszcze zbyt trudny i bolesny w naszej świadomości społecznej, by mógł o nim z zimną, logiczną dociekliwością detektywa. Dlatego wybór formy dramatu sensacyjnego dla przedstawienia tamtych czasów z góry skazuje film na artystyczną przegrana. Dowodzą tego nasze nieudane próby: „Zwariowana noc” i „Mor dera pozostawia ślad”, dowodzi też rumuńsko-radziecki „Tunel”. Film Munteanu próbuje w karkołomny sposób łączyć ze sobą dwie przeciwstawne krańcowości: podniosły ton epopei z aurą sensacji o posmaku dość często dwuznacznym, robionym wyrażenie pod publiczność. W efekcie jedno i drugie wypadła nieudolnie, nieprzekonywująco. „Tu-

nel” nie jest więc ani autentycznym dramatem sensacyjnym, ani nie potrafił ukazać prawdziwy obraz wojny. Jest tylko namiastka jednego i drugiego. Namiastka ludzi tamtego okresu są też jego bohaterowie. Stawiają oni wcielenie stereotypów rozumianych przez określenie takie jak „bohater”, „prawdziwy żołnierz”, „niezłomny obrońca”. Brak życiowości ekranowych postaci zaskakuje widać i jest czasem źródłem niezamierzonego komizmu. Tak w owym końcowym fragmencie filmu. Kiedy umierający już, ciężko ranny bohater potrafił zdobyć się w ostatnich sekundach swego życia na taki wysiłek, że pcha samotnie po torach wagon towarowy pełen amunicji. Sztu-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

łym swoim komizmie prawdziwie sympatyczny, ludzki, urzekająco prosty.

Trzeba przyznać, że tragikomedia Menzia jest prawdziwym arcydziełem subtelnej komizmu filmowego. Wszystko w tym utworze składa się na świetnie zharmonizowaną całość: dialog, sytuacje, nastrój, rysunek postaci. Kto wie, czy nie można by mówić o czeskim humorze filmowym, tak jak się mówi np. o angielskim poczuciu humoru, mając na myśli jego specyfikę. Szereg filmów (recenzowany tutaj, „Intymne oświecenie”, „Miłość blondynki” i in.) wyraźnie do tego prowokuje. Jest to humor, którego źródło stanowią śmieszności ludzi przeciętnych ukazanych w zdumiewająco odważnym realizmie szczegółów

Wszystko to razem tworzy płytka, nieudolna mieszanina, a pompatyczna, której autorzy nie mieli w gruncie rzeczy nie do powiedzenia.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

ROBOTY, ROBOTY, ROBOTY...

Na pierwszej stronie jednego z sierpniowych numerów paryskiego dziennika „Le Figaro” widnieją dwie fotografie robota regulującego ruch



uliczny i przeprowadzającego dzieci przez jezdnię. Zdjęcia te pochodzą z Archangielska w Związku Radzieckim. Robot potrafi wykonać 76 różnych poleceń.

Słowo „robot”, które przyjęło się niemal na całym świecie, użył po raz pierwszy czeski pisarz Karol Čapek w swym dramacie pt. „R.U.R. Rossum's Universal Robots”. Ostatnio na temat robotów, automatów zastępujących czynność ludzką, mózgow elektronowych i tym podobnych, coraz więcej pisze się w prasie światowej. Niedawno ukazała się w Szwajcarii kompilacyjna praca wydawcy w Zurichu André Simmena pt. „Der mechanische Mensch” (Mechaniczny człowiek). Dzieło zawiera interesujący przegląd, ilustrowany od powiedniami tekstami i rysunkami, od czasów sta-

rożytnych aż po nasze dni, wysiłki zmierzające do stworzenia aparatów, figur, maszyn, androidów spełniających ludzkie funkcje.

W jednym z ostatnich numerów paryskiego „Cinéma”, tygodnika poświęconego sprawom filmu, znaleźliśmy artykuł (dość zresztą metny w wywodach) o tym, że jakoby aktorzy fascynują obecnie odtwarzanie w filmach roli kobiet-robotów czy też kobiet „robotyzowanych”. Nie widać się bliżej w analizie tych kwestii sygnalizujemy jedynie, że temat robotów, automatów i elektronowych mózgow jest obecnie bardzo popularny, i że chyba jeszcze nigdy „science fiction” naukowo-fantazja wybiegająca w przyszłość nie cieszyła się tak ogromnym zainteresowaniem i powodzeniem.

bliżu wyspy, trzydzieści metrów pod powierzchnią wody. Ta starożytna zabudowa pochodzi z okresu kultury kretańsko-mykeńskiej (około 3.000 do 1.200 p.n.e.). Miała otoczone jest murem. Nurkowie odnaleźli jednak otwór przez który udało im się wejść do owego zatopionego miasta. Wszystko pokryte tam jest grubą warstwą mułu i piasku, ale budynki są dość dobrze zachowane. Zidentyfikowano na przykład piekarnię, o czym świadczą olbrzymie piec. Znalaziono również starożytny amfor w doskonałym stanie. Natknięto się na świątynię, której zewnętrzne ściany pokryte są napisami. Szereg za bytków udało się sfotografować, a jeden z nurków sporządził na plastycznej tabliczce ogólny plan miasta.

Wiadomość o odkryciu starożytnej miejscowości



została przekazana archeologom. Im też zostaną przekazane zdobyte materiały.

Jeśli chodzi o rece Wenusa to ekspedycja wciąż nie traci nadziei, że się odnajdzie. Spoczywają prawdopodobnie w piasku i mułu. Wygląd miejsca gdzie prowadzone są poszukiwania odpowiada opisowi naucek świątków, którzy obserwowali załadowywanie reżby na statek.

Na razie jednak na skutek odkrycia podwodnego miasta prace zmierzające do odszukania rak Wenusa zostały na jakiś czas wstrzymane.

ZAGROŻONY DOM GOETHEGO

Tegorocznej wiosny — jak pisze korespondent „Litterarnej Gaziety” — w przeddzień 135 rocznicy śmierci Goethego odezwaly się głosy o pomoc dla zagrożonego muzeum wielkiego poety. Dom-muzeum Goethego znajduje się we Frankfurcie nad Menem (NRF) a obywateli miasta dumni są z tego, że tam właśnie urodził się poeta. Muzeum frankfurckie jest poważnym centrum wiedzy o wielkim pisarzu i jego epoce. Znajduje się tu biblioteka zawierająca ponad sto tysięcy książek, 20 tysięcy rękopisów, 14 tysięcy rysunków i około 400 obrazów. Wszystko to stanowi nader ważny materiał naukowo-badawczy dla germanistów krajowych i zagranicznych. Obecnie ten

ośrodek wiedzy o Goethe znalazł się na krzyżu katastrofy. Władze miejskie Frankfurtu nad Menem poważnie uszczupliły fundusze na utrzymanie muzeum, którego deficyt wynosi już 50 tysięcy marek.

W specjalnie krytycznej sytuacji znalazła się biblioteka, na którą asygnuje się tyle ile w roku 1913, kiedy to realna wartość pieniądza była o wiele wyższa. Biblioteka w obecnym stanie nie może zakupić rękopisów Goethego, jakie pojawiają się na licytacjach zagranicznych. Skutek jest taki, że cenne manuskrypty wędrują z reguły za ocean, wykupywane przez bogatych kolekcjonerów.

Jak pisze korespondent tygodnika „Litterarnej Gaziety” uszczupla się w Niemieckiej Republice

Federalnej fundki finansowej przeznaczone na rozszerzenie funduszy bibliotecznych. Jest to rezultat polityki podatkowej Bonn, na skutek której lwią część podatków miejskich przeznaczoną jest na zbrojenia.

GULIWER I IRLANDIA

W Dublinie odbył się obchód 300-lecia urodzin pisarza angielskiego, pochodzenia irlandzkiego, Jonathana Swifta, autora m. in. znanej na całym świecie książki pt. „Podróż Guliwera”. Na uroczystość, w czasie której dokonano otwarcia wystawy poświęconej życiu i piśmarstwu Swifta, przybyło około stu naukowców zajmujących się badaniem twórczości pisarza.

POLONICA

NORWID PO CZESKU

Wydawnictwo „Mladá Fronta” przygotowuje pierwsze w języku czeskim wydanie wyboru wierszy C. K. Norwida. Autorem przekładu jest znany pisarz i tłumacz dr Václav Renc. Jest to opracowany poezją Norwida, „wielkiego i bojącego poety” i od kilku lat pracuje nad przyswojeniem na język czeski autora „Fortepian Chopina”. Ostatnio „Rude Pravo” (z 10. VI. 67 roku) zamieściło „Do obywatela Johna Browna” w tłumaczeniu Renca.

Warto zaznaczyć, że nazwisko czeskiego pisarza znane jest też w Polsce. Teatr Powszechny w Warszawie grał swego czasu dramat „Trucizna z Elsynoru”, którego Renc jest współautorem (wraz z M. Rejnsem). Jedno z polskich wydawnictw ma też wydać tomik przekładów jego wierszy.

Norwid nie należy do pisarzy zbyt często tłumaczonych. Czeski przekład wyboru jego wierszy należy więc do nielicznych obcojęzycznych wydań twórczości autora „Promethidionu”.

(er)

IWASZKIEWICZ PO ROSYJSKU

W szóstym (czerwcowym) numerze ukazującego się w Moskwie czasopiśmie „Nowyj mi” znajdujemy opowiadanie Jaroslawa Iwaszkiewicza pt. „Kościół w Skaryszewie”. Opowiadanie to, drukowane przedtem w „Twórczości”, przełożył na język rosyjski Aleksander Marjamow. Przy sposobności dodajmy, że twórczość Iwaszkiewicza cieszy się w ZSRR dużym powodzeniem. Ukazują się nie tylko jego utwory w przekładach, ale również prace krytyczne o nim i to zarówno o jego prozie jak też dramaturgii. O ile nam wiadomo, tłumaczy się na język rosyjski najnowszą sztukę Iwaszkiewicza „Kosmogonia”, graną obecnie w warszawskim Teatrze Polskim.

W ROCZNICĘ ŚMIERCI WINCENTEGO DMOCHOWSKIEGO

Wychodzący na Litwie „Czerwony Sztandar” w swym numerze z 5 marca br. podaje w rubryce „Rocznice tygodnia”, że mają właśnie 105 rocznicę śmierci artysty-malarza Wincentego Dmochowskiego.

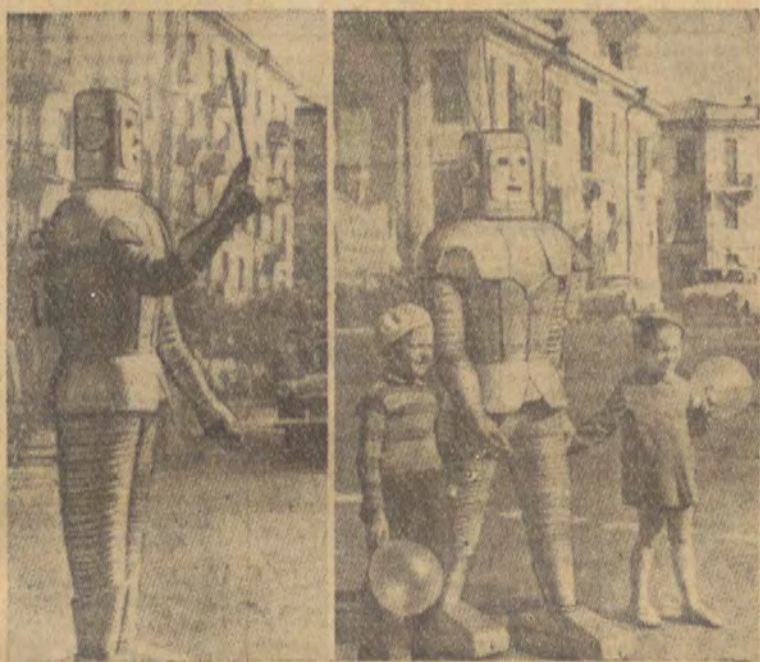
Ten, niegdyś popularny, a dziś niemal zupełnie zapomniany malarz, prawie całe swe życie spędził poza granicami kraju. W roku 1850 osiedlił się na stałe w Wilnie, gdzie oprócz malowania krajobrazów wykonywał zamówienia dla teatru malując dekoracje. (E.I.)

NOWE KSIĄŻKI POLSKICH AUTORÓW W ZSRR

Niedawno ukazały się zapowiadanej wydawnictwa nr 6 i 7 „Nowyje knigi SSSR”, w których czytamy, że w roku bieżącym na półkach księgarń radzieckich ukazuje się aż 5 pozycji autorów polskich. Bada to „Czerwone tarcze” Jaroslawa Iwaszkiewicza, „Fermenity” i „Komedianka” W. St. Reymonta, „Wiersze” Władysława Broniewskiego oraz „Motylek” J. Szczepańskiego.

Nie od rzeczy będzie dodać, że zainteresowanie naszą literaturą w ZSRR nie słabnie i z roku na rok wykazuje tendencję wzrostową. (E.I.)

POLONICA



Robot z Archangielska regulujący ruch uliczny i przeprowadzający dzieci przez jezdnię.

DOM GDZIE URODZIŁ SIĘ HAENDEL

Georg Friedrich Haendel (1685—1759), wielki kompozytor niemiecki, przedstawiciel baroku muzycznego urodził się w Halle. Tu spędził lata dzieciństwa, skąd wyjechał następnie do Hamburga, potem do Włoch, a od 1713 roku aż do swej śmierci przebywał w Anglii.

Dom w którym urodził się Haendel zachował się do naszych dni w Halle (NRF) i jest muzeum, w którym zgromadzone wiele cennych dokumentów odnoszących się do życia i twórczości wielkiego kompozytora. Znajdują się tu też m. in. meble i muzyczne instrumenty

z osiemnastego wieku. Dom w Halle jest jedynym muzeum haendelskim, gdyż ani w NRF, ani we Włoszech i w Anglii nie ma nigdzie takiego muzeum.

Niedawno w Halle odbył się szesnasty festiwal poświęcony pamięci wielkiego kompozytora. Głównym punktem bogatego programu muzycznego było wykonanie przez wielki chór i orkiestrę symfoniczną radia berlińskiego oratorium Haendla „Mesjasz”. Jest ponurym faktem, że wykonanie właśnie tego oratorium zostało ostatnio zabronione w Republice Południowej Afryki. Powód zakazu? Oto dzieło Haendla miało być wykonane przez chór złożony z czar-

nych z towarzyszeniem orkiestry składającej się z muzyków białych. A na to władze w Johannesburgu, przestrzegające surowo segregacji rasowej, zgodzić się nie chciały.

ZAMIAST RAK ZNALEZIONO... MIASTO

W nawiązaniu do naszej notatki o poszukiwaniu raku Wenusa z Milo możemy podać dalsze informacje na ten temat. Otóż nurkom badającym dno w okolicach wyspy Milos nie udało się, jak dotąd, odnaleźć zguby. Na trafili oni natomiast na... miasto, które znajduje się na dnie morza w po-

Autentyczne czy podrobione dzieło Kafki

W numerze 31 z br. „Odgłosów” ukazała się informacja, z której wynika, że praski dramaturg, publicysta i tłumacz Jaroslav Langr — po sześciomiesięcznych i żmudnych badaniach — ustalił, iż „Lot dookoła lampy” jest dziełem Franza Kafki.

Langr w swym twierdzeniu nie jest odosobniony, jednak większość znawców twórczości Kafki — m. in. prof. Eduard Goldstücker z Pragi — ma poważne wątpliwości co do autentyczności utworu.

Wątpliwości budzi już bowiem samo oświadczenie Ludka Mandausa,

popularnego śpiewaka i reżysera opery praskiej, że wszedł on w posiadanie tekstu „Lotu dookoła lampy”, który Kafka rzekomo napisał w 1911 roku, dzięki współpracy z nim nad jego inscenizacją dla przebywającego wówczas w Pradze na gościnnych występach teatru Loowy'ego ze Lwowa.

Otóż — jak niestety było udowodnić — Mandaus miał wtedy zaledwie 12 lat i wobec tego jest oczywiste, że pisarz z jego pomocy nie mógł korzystać.

Nie wytrzymuje również krytyki druga, późniejsza wersja Mandau-

sa, w której twierdzi on, że „Lot dookoła lampy” powstał w 1922 roku, a on otrzymał od Mileny Jesenskiej, dziennikarki i przyjaciółki Kafki, jedynie szkic napisany w języku jidisz. Jest bowiem powszechnie wiadomo, że w roku 1922 Franz Kafka z większym form pisał jedynie — „Zamek” i cykl opowiadań „Głodomór”.

Co więc skłoniło Jaroslava Langra do uznania „Lotu” za autentyczne dzieło Kafki, a znanego wydawcy wiedeńskiego, Friedricha Karpa, do jego wydania? Przede wszystkim chyba „kafkaizmy”, których wiele można spotkać w tym utworze. Jest tam więc tak charakterystyczna dla Kafki atmosfera bliżej nie sprecyzowanych, tajemniczych leków prze-

śladowczych, obsesja śmierci, groby, ważne rodzinne i podróże. Czy jednak te „kafkaizmy” są przesłankami, które w wystarczający sposób pozwoliłyby stwierdzić, że „Lot dookoła lampy” wyszedł spod pióra Franza Kafki? Na pewno nie!

Całą sprawę można byłoby — jak twierdzi kalfkolog — rozwiązać dopiero, gdyby na ten temat wypowiedział się Max Brod, wybitny krytyk literacki, główny biograf Kafki, jego najbliższy przyjaciel, człowiek, który wbrew testamentowi pisarza ocalał dla ludzkości jego bezcenne rękopisy. Brod jednak — mimo gorących namów — uparczywie milczał.

Dopiero za pierwszą próbę zabrania głosu na ten temat można uznać jego list skierowany do

nie (z Brodem przebywającym obecnie w Zurichu koresponduje od dawna dzięki naszym wspólnym praskim przyjaciółom).

W liście tym Brod pisze, że Kafka nie znał języka jidisz, a jemu samemu nigdy nie wspominał, że zna Ludka Mandausa i zamierza napisać sztukę pt. „Lot dookoła lampy”. Również z nazwiskiem Mandausa i wzmianką o „Loecie” Brod nie spotkał się we wszystkich mu znanych listach i pamiętnikach Kafki. W konkluzji mój respondent dodaje, że według niego jest „w najwyższym stopniu nieprawdopodobne aby „Lot dookoła lampy” był dramatem napisanym przez Franza Kafkę” i odrzuca twierdzenia, że siostry genial-

nego Franza (przebywały w Chełmie nad Nerem) przez dłuższy czas w getcie łódzkim, a następnie zostały zamordowane przez hitlerowców posiadają niegdyś cały rękopis „Lotu”.

Warto jeszcze na zakończenie dodać, iż dramat ten Brod podał już szczegółowej ekspertyzie literackiej i w najbliższym czasie zamierza opublikować jej wyniki.

Do tego więc czasu — jak to już sugerowałem w krótkiej informacji na łamach praskich „Litterarnej Noviny” gdzie też ukazał się artykuł Jaroslava Langra — trzeba wstrzymać się z wydaniem autorytatywnych sądów co do „Lotu dookoła lampy”.

MAREK REGEL

Klub bazylejski

Solidne banki szwajcarskie nie potrzebują reklamy. Wprost przeciwnie — można nawet powiedzieć, że jej unikają. Wiele starych musieł dołożyło dyrektorzy Banku Rozrachunków Międzynarodowych w Bazylei (właściwa nazwa: Bank für Internationalen Zahlungsausgleich — w skrócie BIZ), aby uczynić z niego, jaki powstał w prasie zachodniej wokół ich szacownej instytucji w związku z dwoma większymi transakcjami z 1961 r.

Chodziło o dwie duże pożyczki, udzielone rządowi Włoch i Wielkiej Brytanii. Wiosną 1961 r. Włochy przeżywały głęboką depresję gospodarczą. Groziła ona nieobliczalnymi konsekwencjami natury politycznej, a przede wszystkim upadkiem rządu chadecji i ewentualnym przejęciem władzy przez socjalistów. Pożyczka udzielona przez BIZ, w wysokości półtora miliarda dolarów, pozwoliła ówczesnemu rządowi włoskiemu wywikłać się z opresji.

Późną jesienią tegoż roku w jeszcze większych tarapatkach znalazł się rząd Wilsona. Kryzys funta sterlinga mógł unicestwić sukces odniesiony w niedawnych wyborach. Z pierwszą pomocą pospieszył BIZ, udzielając pożyczki w wysokości dwóch miliardów dolarów i następnie kilkakrotnie przedłużając termin spłaty tej pożyczki. Tych transakcji, niestety, nie dało się przeprowadzić w tajemnicy. W obydwóch przypadkach chodziło o poważne długi, zaciągane przez państwa, i premierzy musieli o nich powiadomić swoje parlamenty.

Premierzy starali się zresztą mówić jak najmniej, ale temat podchwyciła prasa, która zwiertzała tu niemalże sępsacje. W serii komentarzy znani publicyści sugerowali, że nie były to czysto handlowe interesy, że wzamian za udzieloną pomoc, zarówno rząd włoski, jak i rząd angielski, musiały się zgodzić na pewne ustępstwa natury politycznej. Mianowicie we Włoszech, wzamian za pożyczkę, rząd miał się zgodzić na odłożenie ad acta pewnych, zamierzonych reform socjalnych, a Wilson miał obiecać, że nie będzie się spieszył z racjonalizacją przemysłu stalowego. W niektórych artykułach Bank Rozrachunków Międzynarodowych zaczęto nazy-

wać „tajnym rządem zachodniej Europy”.

Czy nie ma przesady w tym określeniu? Przecież każdy śmiertelnik — a uczynili to niektórzy dziennikarze — ma prawo zajrzeć do rejestru handlowego miasta Bazylei, gdzie stwierdzi, że BIZ opiera się w swojej działalności na kapitale własnym w wysokości 500 milionów franków szwajcarskich w złocie Stanowi to ok. 120 milionów dolarów. Gdzież więc ta potęga?

Ale zarazem można zadać drugie pytanie: skąd w takim razie BIZ czerpie zasoby na udzielanie miliardowych pożyczek?

Odpowiedzi na obydwie pytania należy szukać w składzie rady nadzorczej i akcjonariuszy banku. Akcjonariuszami są m. in.: Banque de France, Bank Narodowy Włoch, Bank of England, Deutsche Bundesbank oraz kilka innych, prywatnych instytucji finansowych, niemniej potężnych niż te banki narodowe. O nich powiemy później.

W skład rady nadzorczej BIZ wchodzi prezesi wyżej wymienionych banków: Jacques Brunet z Francji, Maurice Frere z Belgii, Guido Carli z Włoch (w swoim czasie także Montague Norman — prezes Banku Anglii) i inni.

Panowie z rady nadzorczej spotykają się raz na miesiąc w Bazylei. Podobno oni to decydują o takich sprawach jak umocnienie, czy osłabienie pozycji którejś z walut, z dolarem i funtem włącznie. Oni decydują o podtrzymaniu pozycji, albo o przyspieszeniu upadku jakiegoś, chwytającego się rządu, czy banku, tak jak zdecydowali o krachu libańskiego banku „Intra”, który wlaź im w ich własne interesy. Grupa tych panów nazwano „Klubem bazylejskim”. Jest to niewątpliwie najbardziej elitarny i wpływowo klub na świecie.

„Cud gospodarczy” jakisą wydarzył Niemcom zachodnim po II wojnie światowej, wcale nie był pierwszym, ani największym cudem. Niemcy mają wyraźną skłonność do takich cudów. W ostatnich 40 latach zdarzyło im się to parę razy.

Zacznijmy od cudu Republiki Weimarskiej. Pokonane w I wojnie światowej Niemcy stanowiły nielada gratkę dla finansistów i przemysłowców amerykańskich. Oni zgromadzili w swoich skarbcach niemal całe złoto świata, a zrzuconą wojną gospodarką niemiecką potrzebowała ogromnych zastrzyków kapitałów, aby się na nowo rozkręcić. Potężny i prawie niezniszczony przemysł niemiecki nie różnił się poziomem

technicznym od przemysłu amerykańskiego, a miał tę przewagę, że w wygłodniałym kraju można było robotnikom płacić trzy i czterokrotnie mniej. Rokowało to ogromne zyski dla tych, którzy użyli kapitałów na jego uruchomienie.

Strumień dolarów popłynął do Niemiec już w 1919 roku. Ten strumień szybko przemienił się w wielką rzekę. Pierwszy szczyt inwazji dolara na Niemcy przypadł w roku 1929. Według wiarygodnych źródeł amerykańskich, prywatne lokaty grup finansowych i koncernów przemysłowych USA w Niemczech, szacowano już wówczas na 4 miliardy dolarów.

W. A. Harriman, którego interesują głównie metale kolorowe, stal i energetyka, przejmuje część akcji przedsiębiorstw Giesche'go i Flicka, a potem — wspólnie z J. P. Morganem — zasila ją z kas swoich banków grupę potężnych, niemieckich D-banków, finansujących prawie cały przemysł ciężki i zbrojeniowy oraz kopalnie i huty Zagłębia Ruhry, Nadrenii i Górnego Śląska. Korzysta z tych dolarów między innymi takie potęgi jak Stinnes i Thyssen.

„General Motors” pomagają truchomić, a następnie rozbudować zakłady Opel, przejmując 51 proc. akcji tego przedsiębiorstwa. Henry Ford buduje nową fabrykę samochodów w Kolonii. Du Pont de Nemours interesują się przede wszystkim (ale nie tylko) wielkimi przedsiębiorstwami branży chemicznej, z których później powstaje superkoncern I. G. Farben.

Wymieniliśmy tu tylko najbardziej znane nazwiska i firmy. Każda z tych osób — każda z firm reprezentowała dziesiątki dalszych koncernów i banków. Darujemy sobie szczegółowe wyliczanie.

Wielki kryzys z 1929 roku przyhamował te kwitnącą współpracę. Zanotowano nawet poważny odływ kapitałów amerykańskich z Niemiec. Ale już na początku 1933 roku zaistniały nowe, jeszcze wspanialsze i ponętniejsze perspektywy. Władze w Niemczech objął Adolf Hitler...

W tymże roku wielu przedstawicieli największych amerykańskich koncernów i banków bawilo w Niemczech. Prawie wszyscy, bardziej lub mniej wstrząśnięci, wyrażali swoje uznanie dla wódza Trzeciej Rzeszy i jego ideologii. Ówczesny prezes „General Motors”, William S. Knudsen, po powrocie oświadczył wprost, że Niemcy hitlerowskie „to cud XX wieku”. Nie trzeba mu się dziwić: firma „Adam Opel A. G.” otrzymała już portfel zamówień rządowych, które

nie tylko pokrywały jej zdolność produkcyjną na kilka lat, ale wymagały jeszcze poważnej i szybkiej rozbudowy przedsiębiorstwa.

Tak więc zdarzył się kolejny „cud gospodarczy”. W ciągu 1933 i 1934 roku reżim hitlerowski dał pracę prawie dziesięciomilionowej armii bezrobotnych.

Już w 1933 roku zawarto szczegółowe — ale i tajne — porozumienie między grupami koncernów i banków amerykańskich, a ich niemieckimi współnikami. Delegacji niemieckiej przewodniczył sam Schacht. Niemieckie D-banki reprezentował baron von Schroeder. Ze strony amerykańskiej w rokowaniach uczestniczył m. in. dyrektor najpotężniejszej w ówczesnym świecie instytucji finansowej „First National Bank of New York” — Thomas A. McKittrick. Porozumienie obejmowało sposób finansowania banków i przemysłu niemieckiego, wymianę patentów i licencji, zabezpieczenie dostaw surowcowych i wiele innych spraw. Ważną częścią tego porozumienia była także ugoda co do podziału rynków zbytu i stref wpływów. Finansjera amerykańska już wtedy uznała hitlerowską koncepcję „Hinterlandu”. Kapitał amerykański oddawał w pacht Niemcom całą wschodnią Europę, zobowiązuwał się nie interweniować więcej na tym terenie, nie udzielać kredytów (chyba, że za pośrednictwem banków niemieckich), a w odpowiednim momencie — oddać niemieckim współnikom wszystkie swoje przedsiębiorstwa i aktywa na tych terenach. Jeśli chodzi

o Polskę, to Amerykanie mieli oddać Niemcom m. in. takie przedsiębiorstwa jak: „Wspólnota Interesów” do której należała Katowicka Sp. Akc. dla Górnieta i Hutnictwa, huty Królewska i Laura, huty „Silesia” i „Batory”, a także całą spółkę „Giesche” w Polsee, będącą właścicielem prawie wszystkich kopalń cynku, kilku kopalń węgla i hut. Wymieniliśmy tu tylko przedsiębiorstwa, w których 51 proc. akcji posiadał Harriman. Jak wiemy, ten dogorny moment nadszedł we wrześniu 1939 roku.

Na pewno nikt w świecie kapitalistycznym nie zna się lepiej na polityce niż fabrykanci broni. Oni już w 1933 roku wiedzieli, że musi dojść do wybuchu II wojny światowej, a w 1936 roku przewidzieli jeszcze jedną możliwość: prawdopodobnie jest, że w tej przyszłej wojnie Stany Zjednoczone będą musiały wystąpić czynnie przeciwko Niemcom. To mogłoby im popsuć ich fantastyczny interes. Trzeba było temu jakoś zaradzić.

Niemcom chodziło o to, że by nawet w czasie takiej

wojny przemysł zbrojeniowy mógł pracować na pełnych obrotach. Musieli więc sobie zapewnić nieprzerwany dopływ surowców i materiałów strategicznych, których sami nie mieli, lub wydobywali zbyt mało. Kapitaliści amerykańscy nie mieli nic przeciwko temu, ale pod warunkiem, że za te surowce i materiały ich niemieccy współnicy godziwie zapłacą, że będą regularnie otrzymywać dywidendy od posiadanych akcji niemieckich przedsiębiorstw i procenty od kapitałów tamże ulokowanych. Opracowano więc drogi przetrzutu surowców i materiałów przez kraje neutralne, a dla prowadzenia bieżących rozliczeń powołano Bank Rozrachunków Międzynarodowych w Bazylei. Stało się to wszystkim w roku 1936.

Bazylea była idealnym miejscem na siedzibę takiego banku. Cicho tu i spokojnie, a co najważniejsze — tylko parę kilometrów do granicy niemieckiej i tyleż do francuskiej. Szwajcarów, mieszkańców Bazylei, przyzwyczajonych od dzieciństwa do szanowania świętej tajemnicy bankowej, nie interesowało co to za nowa instytucja zasiadła zupełnie przeciętny i brzydki gmach, przy Centralbahnhofstrasse 7. Rów nie i rząd szwajcarski przez wiele lat udawał, że nie wie o jakiej rozrachunkach tu chodzi, i że go to wcale nie interesuje.

Niektórzy amerykańscy eksperci wojskowi, nie wtajemniczeni w interesy wielkich koncernów (za czasów Roosevelta byli i tacy), nie umieli sobie wytłumaczyć faktu, że w ezwartym roku wojny (był to rok 1942), niemiecki przemysł zbrojeniowy pracuje na pełnych obrotach i, mało tego, potrafił z miesiąca na miesiąc zwiększać produkcję czołgów, samolotów, armat, samochodów pancernych i ciężarowych. Według ich wyliczeń, niemieckie zapasy takich surowców, jak: kalcyn, nikiel, kadm, magnez i wiele innych, zgromadzonych na wypadek wojny, powinny już dawno być wyczerpane. Wiadomo było, że niektóre z tych surowców, w niewielkich ilościach, Niemcy otrzymują ze Szwecji. Była to jednak przyswojona kropla w morzu potrzeb gigantycznej maszyny zbrojeniowej hitlerowskich Niemiec.

Na początku 1942 roku, przewodniczący Komisji Obrony w Senacie USA, późniejszy prezydent, Harry S. Truman, oświadczył senatorom: „Za obecny, niebezpieczny brak stali, ponoszą odpowiedzialność wielkie towarzystwa, dążące do utrwalenia swoich monopolii... Byliśmy już w stanie wojny, gdy „Standard Oil of New Jersey” wciąż jeszcze czynił wszelkie wysiłki, aby zachować kontrolę rządu nie-

mieckiego nad najważniejszymi surowcami wojennymi... Tak, to jest zdrada! Nie ma na to innego określenia”.

W maju 1942 roku wywiad wojskowy USA ujawnił przed Komisją Senatu 162 umowy kartelowe i inne, zawarte przez I. G. Farbenindustrie z różnymi przedsiębiorstwami amerykańskimi. Tylko niewielka część tych umów była chwytliwie „zawieszona” na okres wojny.

W roku 1946 rząd USA wytoczył szereg procesów dyrektorom i prezesom firm, które prowadziły interesy wyraźnie sprzeczne z racją stanu i wysiłkiem wojennym Stanów Zjednoczonych. Jednym z oskarżonych był John Foster Dulles — dyrektor „International Nickel of Canada”. Główny zarzut aktu oskarżenia brzmiał: „Zmowy kartelowe i sprzeczne z prawem udzielanie pomocy zbrojeniom niemieckim w czasie wojny. Jak wiemy, proces ten absolutnie nie zaszkodził Dullesowi w błyskawicznej karierze politycznej. Już w roku 1950 powołano go na głównego doradcę ówczesnego sekretarza Stanu, D. Achesona.

Przez całą wojnę spotykali się w Bazylei członkowie Rady Nadzorczej Banku Rozrachunków Międzynarodowych. Był wśród nich najmłodszy finansista niemiecki, baron K. F. von Schroeder z Kolonii, prezes Banku Rzeszy — Walter Funk, prezes I. G. Farben — dr Herman Schmitz, a prezesował im Thomas A. McKittrick — dyrektor nowojorskiego „First National Bank”. Oni już dbali o to, by „General Motors” odbierały regularnie swoich 51 procent zysku od każdego czołgu, wyprodukowanego w zakładach „Adam Opel A. G.”. Oni przekazywali prowizje, należne koncernom amerykańskim, za każdy wyprodukowany samolot, za każdą łódź podwodną i armatę, za każdy pocisk wystrzelony z dział niemieckich przeciwko polskimi, francuskimi, radzieckimi, a potem także i amerykańskim żołnierzom.

Do ostatnich miesięcy wojny Niemcy solidnie i terminowo regulowali swoje zobowiązania finansowe. Nie trudno się domyślić skąd pochodziła znaczna część tych dewiz i złota.

Artykuł opracowany na podstawie materiałów z własnej książki „Recepta na miliony” oraz publikacji Alberta A. Kahna pt. „High Treason” Cytaty z prasy amerykańskiej oraz wypowiedzi działaczy i polityków amerykańskich podaje za Albertem Kahnem.



Lewym okiem

PANIE, TO JESZCZE NIC...

Jak już zupełnie nie ma o czym mówić w tak zwanym towarzystwie, czyli w gronie osób zebranych tak sobie, dla przyjemności, bez zewnętrznego przysmaru — to się zaczyna opowiadać kawały. Nie mówię o gronie osób zebranych w mieszkaniu, w którym jest telewizor, bo takie grono nie jest żadnym towarzystwem, nie ma żadnej przyjemności, a mówić nie potrzebuje w ogóle.

Bez telewizora — panowie jeden po drugim sięgają do pokładów pamięci, albo do wnętrza notesów i ciężko pracują na opinie dowcipnych. Wystarczy, że rozśmieszą, choć przecież nie swoim dowcipem. I tak są wdzięcznie słuchani, no bo o czym byśmy bez nich gadali? Smutno jakoś ciągnąć jarzębiak w milczeniu.

Czasem ludziska próbują. Kto jeździ dużo po cięgiem, wie jak takie próby konwersacji wyglądają. Można się pokusić o sformułowanie żelaznych praw, poza które kolejowa rozmowa

nie wychodzi prawie nigdy, żelaznych tematów, dookoła których obraca się z monotonią zepsutej karuzeli.

Więc pierwszy, wstępny i ogólnoludzki temat: pogoda. Anglicy powiedzą sobie: — jaki piękny czas! — uśmiechną się do siebie i już mogą milczeć wspólnie, jak starzy znajomi. U nas temat musi wystarczyć na dłużej, więc rozciąga go się na opisy pogody wczorajszej, jutrzejszej, burzy sprzed tygodnia, burzy sprzed wojny, śnieżyicy na Kresach i upału w Warszawie. Można też próbować delikatnie na ile jakiejś niezwykłej pogody przemycić wspomnienie niezwykle własnego przeżycia, ale wtedy istnieje niebezpieczeństwo, że rozmówca, wcale nie słuchając, zareplikuje natychmiast swoim przeżyciem: — To panie jeszcze nie, ale jak ja kiedyś...

Nie, to już lepiej przejść na inny klasyczny teren: zdrowie. Co prawda też trzeba wysłuchać wszystkich intymnych szczegółików o wtrąbie bliźniego, ale cóż za przyjemność opowiedzieć w chwilę potem o własnej dwunastnicy! Jest to frajda tak duża, że oplaci się nawet dopuścić do głosu jeszcze dwóch pasażerów, tego z korzonkami i tamtego z nadciśnieniem. A kiedy wyczerpią się wszystkie po kolei organa i rewelacje o wszystkich stawnych zachorach, pociąg zaś ciągle jeszcze nie jest w celu — sięgamy po następny kanon: złodziei. Wystarcza na dwieście kilometrów, sprawdziłem.

O złodziejach, rzeźmieszkach, frantach, kanciarzach wszyscy bez wyjątku lubimy gadać godzinami, jak Andrzej Makowiecki i Konrad Frejdlich. Można by o tym psychoanalizycznie: oto mamy bohaterów, którzy za nas się zbuntowali,

za nas przelamali tak mocno kępujące na codzień bariery praw, zwyczajów, rygorów społecznych. Mówimy o nich z sentymentem, z uśmiechem, z podziwem. Zaujemy czasów Tasienki, Laniuchy i Rudego Mamaja. Wreszcie jednak dwieście kilometrów mija, na następnych pięćdziesiąt przechodzimy na duchy i różne zjawiska, w których „coś jednak musi być”, po czym lądujemy jak Robinson na skale — na temacie dzisiejszej młodzieży.

Koniec, żeby nie wiem co — pozostaje już tylko drzemka. Oczywiście pozostają kawały, ale na to trzeba jeszcze trochę ogólnego zgrania, trochę atmosfery i chociaż jednej kobiety. Ani atmosfery, ani zgrania nie może być w naszym kraju bez alkoholu. W pociągu nie zawsze, dzięki Bogu, ma się alkohol pod ręką, a i kobiet podróżuje niewiele, znacznie mniej niż panów z teczkami.

Czarna rozpacz. Jakże rzadko — zresztą i w prawdziwym, nie przypadkowym towarzystwie też — można być świadkiem interesującej, angażującej rozmowy o wydarzeniach dnia, obojętnie z jakiego zakresu! Albo tego, co można by wreszcie nazwać wymianą myśli własnych, myśli uogólniających, szukających, próbujących porządkować sprawy i zjawiska!

Jakże nudno jeździć kolejami w dzień, kiedy nie chce się spać, jak wiele znamy już kawałów, wymyślonych przez zawodowców, jak trudno nam zdobyć się na własną, inteligentną, dowcipną ripostę...

CWIEK